


# SUE TOWNSEND ADRIAN MOLE



i BRON'  
masowego  
rażenia

Z recenzji cyklu książek  
o Adrianie Mole'u:

Adrian Mole jest genialną postacią  
komediową.

„The Times”

U Townsend żarty są naprawdę  
śmieszne.

„Sunday Times”

Jest to humor wysokiej próby,  
któremu patronuje tradycja brytyjskiej  
klasyki spod znaku Laurence'a  
Sterne'a i jego *Tristrama Shandy*  
oraz – z bliższego naszym czasom  
Monty'ego Pythona.

„Polityka”

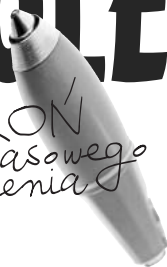
Sue Townsend rozprawia się  
z absurdami i paradoksami  
naszych czasów.

„Nowe Książki”

Śmiech Sue Townsend jest zaraźliwy.  
„Sunday Telegraph”

# ADRIAN MOLE

i BRON  
masowego  
razenia



w przygotowaniu: **Adrian Mole. Na manowcach**

SUE TOWNSEND

# ADRIAN MOLE

i BRON'  
masowego  
razenia

Przełożył  
Tomasz Tesznar



Tytuł oryginału: *Adrian Mole and the Weapons of Mass Destruction*

Copyright © Lily Broadway Productions Ltd., 2004

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Wydanie I  
Warszawa 2006

*Poświęcam tę książkę pamięci Johna Jamesa  
Alana Balla, Maureen Pameli Broadway  
i Gilesa Gordona.*

*Dedykuję ją również cudownym dziewczętom,  
Finley Townsend, Issabelli Carter, Jessice Stafford  
oraz Mali Townsend, z wyrazami mojej miłości.*



**2002**



*Wisteria Walk*  
*Ashby de la Zouch*  
29 września 2002

*Do rąk własnych*  
*Wielce Szanowny Pan*  
*Tony Blair*  
*Członek Parlamentu i Doradca Królowej*  
*Hrabstwo Leicester*  
*Downing Street 10*  
*Whitehall*  
*Londyn SW1A*

*Drogi Panie Blair!*

*Nie wiem, czy Pan mnie pamięta – spotkaliliśmy się w roku 1999 na przyjęciu wydanym w Izbie Gmin przez norweski przemysł garbarski. Zapoznała nas Pandora Braithwaite, obecna wiceminister do spraw odnowy terenów miejskich, a potem przeprowadziliśmy krótką rozmowę na temat BBC, podczas której wyraziłem opinię, iż stosunek tej instytucji do scenarzystów z prowincji jest wręcz haniebny. Niestety, niebawem odwołano Pana w jakiejś pilnej sprawie na drugi koniec sali.*

*Piszę do Pana, aby podziękować, że mnie Pan ostrzegł przed niebezpieczeństwem, jakie grozi Cyprovi ze strony Saddama Husajna, będącego w posiadaniu broni masowego rażenia.*

*Zarezerwowałem już dla siebie i mojego starszego syna tygodniowy pobyt w hotelu Atena w Pafos na Cyprze na początku listopada, za łączną kwotę 571 funtów plus opłaty lotniskowe. Mój osobisty doradca do spraw turystyki, Johnny Bond z biura podróży Latesun Ltd, zażądał zaliczki w wysokości 57 funtów i 10 pensów, którą to zaliczkę wpłaciłem mu 23 września. Proszę sobie zatem wyobrazić moje przerażenie, kiedy następnego dnia włączyłem telewizor i usłyszałem, jak oznajmia Pan Izbie Gmin, że Saddam Husajn może zaatakować Cypr bronią masowego rażenia w ciągu 45 minut!*

*Natychmiast zatelefonowałem do Johnny'ego Bonda i odwołałem wyjazd (skoro atak może nastąpić w ciągu 45 minut, nie mogłem ryzykować, że będę akurat na plaży i nie usłyszę stosownego komunikatu Ministerstwa Spraw Zagranicznych).*

*Oto, na czym polega mój problem, Panie Blair: biuro podróży Latesun Ltd odmawia zwrotu mojej zaliczki, o ile nie dostarczę dowodów na to, że:*

*a) Saddam Husajn dysponuje arsenałem broni masowego rażenia;*

*b) jest w stanie rozmieścić ją na stanowiskach bojowych w ciągu 45 minut;*

*c) Cypr znajduje się w zasięgu jego rakiet.*

*Johnny Bond, którego wczoraj, jak mi powiedzieli jego koledzy, „nie było w biurze” (podejrzewam, że brał udział w jakiejś antywojennej demonstracji), ośmielił się zakwestionować prawdziwość Pańskiego oświadczenia wygłoszonego w Izbie Gmin!*

*Czy wobec tego zechciałby Pan uprzejmie przelać mi odręcną notkę z potwierdzeniem, iż rzeczywiście istnieje zagrożenie dla Cypru, abym mógł przekazać ją Johnny'emu Bondowi i odzyskać swoją zaliczkę? Nie mogę sobie pozwolić na utratę 57 funtów i 10 pensów.*

*Szczerze oddany  
Adrian Mole*

*PS Ciekaw jestem, czy mógłby Pan zapytać swą małżonkę, Cherie, czy zgodziłaby się gościnnie zabrać głos na uroczystym obiedzie Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland w dniu 23 grudnia bieżącego roku. Will Self nam odmówił, i to dosyć kategorycznie. Nie płacimy honorariów ani nie zwracamy kosztów podróży, ale i tak sądzę, że przekonalaby się, iż stanowimy bardzo energiczną i inspirującą grupę.*

*W każdym razie, Panie Blair, dobra robota. Tak trzymać!*

## sobota 5 października

Oglądałem dziś mieszkanie na poddaszu starej fabryki akumulatorów na Nabrzeżu Szczurów. Mark B'astard, agent od nieruchomości, powiedział mi, że ci dranie od kupna i wynajmu teraz wręcz sobie wrywają budynki nad kanałem. Mieszkanie jest w świetnym punkcie. To ledwie pięć minut spaceru ścieżką nad kanałem od księgarni, w której pracuję. Na poddaszu jest jeden przestronny pokój i łazienka ze ścianami z luksferów.

Kiedy Mark B'astard poszedł się odlać, widziałem jego zamazaną sylwetkę. Jeśli kupię to mieszkanie, poproszę matkę, żeby uszyła mi jakieś zasłonki.

Wyszedłem na balkon ze stalowej siatki, żeby podziwiać widoki. Przedemną, połyskując w jesiennym słońcu, rozciągał się kanał. Po niebie szybowało stado łabędzi, nieopodal przeleciał jakiś szary ptaszek, a spod mostu wyłoniła się barka. Kiedy przepływała pod moim balkonem, brodaty facet z rachitycznym, siwym kucykiem pomachał do mnie i powiedział: „Ładny mamy dzionek!”. Widziałem, jak na dnie barki jego żona zmywała po obiedzie. Ona też mnie spostrzegła, ale mi nie pomachała.

Mark B'astard taktownie zostawił mnie samego, kiedy chłonałem atmosferę tego miejsca. Teraz jednak znowu do mnie dołączył i zwrócił mi uwagę na kilka niezwykle oryginalnych cech tego mieszkania, takich jak autentyczne zacieki z kwasu na podłodze i haki, na których w czasie wojny wisiały kotary służące do zaciemniania.

Spytałem go, co będzie w obstawionym rusztowaniach sąsiednim budynku. „Zdaje się, że hotel” – odparł. Potem powiedział, że Eric Shift, ten multimilioner od żelastwa i złomu, który będzie właścicielem działki, na której znajduje się mój lokal, wykupił całe Nabrzeże Szczurów i liczy, że przemieni je w lokalny odpowiednik paryskiego lewego brzegu Sekwany.

Przyznałem się Markowi, że zawsze chciałem spróbować swych sił w akwarelach.

Pokiwał głową i powiedział: „To fajnie”, ale zdawało mi się, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

Mark tymczasem wodził tęsknym spojrzeniem po bielu-  
teńkiej, gołej ścianie, aż wreszcie rzekł:

– To takie miejsce, w którym sam chciałbym zamieszkać, ale mam trójkę dzieci. Najstarsze ma dopiero pięć lat, i żona chce mieć ogród.

Wyraziłem współczucie i powiedziałem, że jeszcze do niedawna sam wychowywałem dwóch synów, tylko że teraz tym starszym – siedemnastoletnim Glennem – zajmuje się armia brytyjska, a młodszy – dziewięcioletni William – wyjechał na stałe do matki do Nigerii.

B’astard spojrzał na mnie z zazdrością i rzekł:

– Jest pan bardzo młody jak na kogoś, kto już pozbył się dzieci z domu.

Powiedziałem mu, że mam już trzydzieści cztery i pół roku, i że to chyba najwyższa pora, by dla odmiany zadbać o siebie.

Kiedy B’astard pokazał mi wbudowaną w kuchenny blat granitową tacę na ser, powiedziałem, że kupuję to mieszkanie.

Zanim sobie poszliśmy, wyszedłem na balkon, żeby raz jeszcze spojrzeć na kanał. Słońce zachodziło właśnie za stojący w oddali wielopoziomowy parking. Ścieżką po drugiej stronie kanału szedł lis z reklamówką Tesco w pysku. Jakieś bure stworzenie (chyba szczur wodny) wśliznęło się do kanału i popłynęło w dal. Pod moim oknem przepływały majestatycznie łabędzie. Największy z nich spojrzał mi prosto w oczy, jakby chciał powiedzieć: „Witaj w nowym domu, Adrianie”.

## **22.00**

Poszedłem do kuchni, ściszyłem radio i oznajmiłem rodzicom, że przy najbliższej okazji wyprowadzam się z ich pokoju gościnnego i przenoszę do mieszkania na poddaszu starej fabryki akumulatorów na Nabrzeżu Szczurów w Leicester.

Matka nie potrafiła wprost ukryć zachwytu.

Ojciec uśmiechnął się szyderczo.

– Stara fabryka akumulatorów? Twój dziadek kiedyś tam pracował, ale musiał odejść, jak go ugryzł szczur i dostał zakazania. Już myśleliśmy, że będą mu musieli uciąć nogę.

– Nabrzeże Szczurów? – spytała matka. – Czy to nie tam mają w przyszłym roku otworzyć schronisko dla bezdomnych?

– Ktoś cię wprowadził w błąd – odparłem. – Całe osiedle nad kanałem mają przekształcić w centrum kulturalne miasta Leicester.

Kiedy spytałem matkę, czy ześciuboli mi jakieś zasłonki do łazienki z luksferów, odparła złośliwie:

– Przepraszam, ale sądzę, że mylisz mnie z kimś, kto trzyma w domu igłę i nici.

Dokładnie o siódmej ojciec podkręcił radio i wysłuchaliśmy wiadomości. Brytyjscy przywódcy wojskowi chcieli wiedzieć, jaka będzie ich rola, jeśli Wielka Brytania przystąpi do wojny z Irakiem. Ceny akcji znowu spadły.

Ojciec walnął głową w stół i wrzasnął:

– Zatlukę tego drania doradcę finansowego, który mnie namówił, żebym założył konto emerytalne w funduszu „Godne Życie”!

Kiedy z radia popłynęła czołówka serialu *Archerowie*, rodzice sięgnęli po papierosy, zapalili i siedzieli tak, z lekko rozchyłonymi ustami, słuchając rolniczej opery mydlanej. Są jednak rzeczy, które robią razem, raz jeszcze usiłując uratować swoje małżeństwo.

Moi rodzice są dziećmi wyżu demograficznego. Teraz jednak mają, odpowiednio, pięćdziesiąt dziewięć i sześćdziesiąt dwa lata. Ciągłe czekam, kiedy pogodzą się z faktami i zaczną się ubierać tak samo jak inni starszankowie. Chciałbym zobaczyć, jak noszą przykrótkie, beżowe płaszczki, luźne, elastyczne spodnie i – w przypadku matki oczywiście – siwą trwałą w kształcie kalafiora, ale żadne z nich najwyraźniej nie ma zamiaru się poddać. Wciąż upar-

cie wbijają się w marmurkowe dżinsy i obcisłe skórzane kurtki.

Ojciec myśli, że jeśli zapaści długie siwe włosy, to ludzie będą go brali za faceta, który przez całe lata pracował w przemyśle muzycznym. Oszukuje się, biedaczysko. Zawsze będzie wyglądał jak emerytowany sprzedawca piecyków akumulacyjnych.

Teraz jeszcze musi przez cały czas nosić czapkę z daszkiem, bo prawie całkiem wyłysiał na czubku głowy, przez co światu ukazał się jego młodzieńczy wybryk: otóż na swoim wieczorze kawalerskim, kiedy już wlał w siebie z dziesięć kufli piwa marki Everards Bitter, pozwoił się ostrzyć na łyso i wytatuować sobie na czaszce na zielono „Jestem świrem”.

Na szczęście wieczór kawalerski odbył się na tydzień przed weselem, ale i tak ta historia wyjaśnia, dlaczego na jedynym ślubnym zdjęciu moich rodziców ojciec wygląda jak skazaniec Abel Magwitch z *Wielkich nadziei*.

Pozostałe tatuaże usunęli ojcu w państwowym ośrodku zdrowia, ale jakoś nie chcą mu sfinansować zabiegu z tym zielonym napisem. Musiałby usunąć go sobie laserem w prywatnej klinice na Harley Street i zapłacić ponad tysiąc funtów. Matka namawia go, żeby wziął pożyczkę z banku, ale ojciec mówi, że łatwiej i taniej jest chodzić w czapce. Matka twierdzi, że ma już dosyć czytania „Jestem świrem”, kiedy w łóżku ojciec odwraca się do niej plecami. Widocznie najczęściej właśnie tak się kładzie.

## 23.00

Zrobiłem sobie kąpiel z aromatycznym olejkiem mojej matki. Na etykietce przeczytałem, że olejek jest z pigwy i moreli. Unosiło się toto na wodzie i wyglądało jak ta plama ropy, która zabiła niemal całą faunę i florę w Nowej Szkocji. Spędziłem kwadrans pod prysznicem, zanim udało mi się zmyć z siebie to świństwo.

Wziąłem dwa lusterka i zmierzyłem sobie łysinę. Jest teraz wielkości dużego dropa.

Sprawdziłem pocztę. Dostałem wiadomość od mojej siostry Rosie, która informowała mnie, że zastanawia się, czy nie rzucić uniwerku w Hull, bo ma już dosyć mikrobiologii. Pisała, że Simon, jej chłopak, potrzebuje ciągłej opieki i pomocy z jej strony, żeby zerwać z nałogiem. Prosiła, żebym nie mówił rodzicom o tym dylemacie, bo oboje są straszliwie „uprzedzeni” do narkomanów.

Były jeszcze, jak zwykle, reklamy różnych firm, które proponowały, że wydłużą mi penis.

## **niedziela 6 października, nów**

Matka przez cały dzień snuła się po domu w szlafroku. O trzeciej po południu spytałem ją, czy ma zamiar się ubrać i uczesać.

– A po co? Twój tatuś niczego by nie zauważył, nawet gdybym łąziła po domu nago i z różą w zębach.

Ojciec przez cały dzień siedział przy wieży i słuchał w kółko swoich ulubionych nagrań Roya Orbisona.

Widać jak na dłoni, że ich małżeństwo to już zimny trup. Jakby się żyło w filmie Bergmana. Może powinienem im powiedzieć, że ich ukochana córeczka raczej nie dostanie Nagrody Nobla, gdyż zamierza porzucić laboratorium i zająć się leczeniem uzależnień. To by ich trochę ożywiło i sprawiło, że zaczęliby ze sobą rozmawiać. Ha, ha, ha.

Całe popołudnie pisałem listy. Kiedy już miałem wyjść z domu, żeby wrzucić je do skrzynki, matka rzekła:

– Jesteś jedyną znaną mi osobą, która ciągle korzysta z usług tej ślimaczej poczty.

– Jesteś jedyną znaną mi osobą, która ciągle wierzy, że palenie jest dobre na płuca – odparłem.

– Do kogo piszesz? – spytała.

Nie chciałem jej powiedzieć, że napisałem do Jordan i do Davida Beckhama, więc wybiegłem z domu, zanim zdążyła przeczytać nazwiska i adresy na kopertach.

*Wisteria Walk  
Ashby de la Zouch  
6 października 2002*

*Jordan  
„Daily Star”  
Grupa Express Newspaper  
Hrabstwo Leicester  
Lower Thames Street 10  
Londyn EC3*

*Droga Jordan!*

*Piszę obecnie książkę o sławie i popularności oraz o tym, jak rujnują one ludziom życie. Dobrze wiem, co mówię. Sam byłem popularny w latach dziewięćdziesiątych i miałem nawet w telewizji kablowej własny magazyn kulinarny pt. „Podróbki bez podróbki”. Potem machina sławy przemielila mnie i wyplula, tak jak kiedyś wypluje i Panią.*

*Chciałbym przeprowadzić z Panią wywiad w jakimś dogodnym dla obu stron terminie. Musiałaby Pani przyjechać do mnie, do Leicester, ponieważ pracuję na pełnym etacie. Najbardziej odpowiadałoby mi któreś niedzielne popołudnie.*

*Tak przy okazji, rozmawiałem ostatnio z ojcem o Pani piersiach. Obaj stwierdziliśmy zgodnie, że są wprost przytłaczające. Ojciec nawet powiedział, że człowiek mógłby wpaść w tę przepaść pomiędzy nimi i można by go szukać całymi dniami.*

*Mój przyjaciel Parvez oświadczył, że Pani piersi są jak broń masowego rażenia, a mój kregarz orzekł, że z uwagi na ciężar, jaki dźwiga Pani na klatce piersiowej, będzie Pani miała kiedyś problemy z kręgosłupem lędźwiowym.*

*Chodzą słuchy, że zamierza Pani jeszcze bardziej powiększyć sobie piersi. Niech się Pani nad tym raz jeszcze zastanowi. Proszę napisać do mnie na podany powyżej adres. Obawiam się, że nie mogę zaoferować Pani honorarium ani zwrotu kosztów podróży, ale otrzyma Pani oczywiście darmowy egzemplarz mojej książki (tytuł roboczy: Sława i obłąd).*

*Pozostaję pokornym i uniżonym sługą,  
A.A. Mole*

*Wisteria Walk  
Ashby de la Zouch  
6 października 2002*

*David Beckham  
Klub Piłkarski Manchester United  
Hrabstwo Leicester  
Old Trafford  
Manchester M16*

*Drogi Davidzie!*

*Proszę, by poświęcił mi Pan chwilę i przeczytał ten list do końca. Nie jestem kolejnym bezmyślnym fanem futbolu, który domaga się zdjęcia z autografem.*

*Piszę obecnie książkę o sławie i popularności oraz o tym, jak rujnują one ludziom życie. Dobrze wiem, co mówię. Sam byłem popularny w latach dziewięćdziesiątych i miałem nawet w telewizji kablowej własny magazyn kulinarny pt. „Podróbki bez podróbki”. Potem machina sławy przemielila mnie i wypluła, tak jak kiedyś wypluje i Pana.*

*Chciałbym przeprowadzić z Panem wywiad w jakimś dogodnym dla obu stron terminie. Musiałby Pan przyjechać do mnie, do Leicester, ponieważ pracuję na pełnym etacie. Najbardziej odpowiadałoby mi któreś niedzielne popołudnie.*

*Proszę się nie obrażać o to, co za chwilę powiem – być może akurat nie było Pana w szkole, kiedy przerabiano gramatykę – ale wydaje mi się, że nie ma Pan pojęcia o podstawach poprawnej konstrukcji zdania, nie mówiąc o frazeologii czy stylistyce. Na przykład wczoraj wieczorem powiedział Pan w telewizji: „Widzę Victorię na teledysku jak była w Spice Girls, no i kumas, nawinąłem kolowi, żem właśnie widział laskę, z którą się chajtnę”.*

*Powinno być tak: „Zobaczyłem Victorię w jakimś teledysku, kiedy śpiewała jeszcze ze Spice Girls, no i wiecie, powiedziałem do kolegi, że właśnie widziałem dziewczynę, z którą się ożenię”.*

*Proszę napisać do mnie na podany powyżej adres. Obawiam się, że nie mogę zaoferować Panu honorarium ani zwrotu kosztów podróży, ale otrzyma Pan oczywiście*

*darmowy egzemplarz mojej książki (tytuł roboczy: Sława i obłęd).*

*Pozostaję Pańskim pokornym i uniżonym sługą,  
A.A. Mole*

## **poniedziałek 7 października**

Po drodze do pracy zadzwoniłem do mojego doradcy prawnego Davida Barwella. Telefon odebrała jego sekretarka Angela.

– Pan Barwell jest teraz bardzo zajęty atakiem astmy, wywołanym przez nową wykładzinę, którą w weekend założono nam w biurze – powiedziała.

Uprzedziłem ją, że może się spodziewać jakiegoś listu od Marka B’astarda w sprawie wynajęcia lokalu nr 4 w starej fabryce akumulatorów na Nabrzeżu Szczurów, nad kanałem Grand Union w Leicester.

– Nie będę nawet zwracała głowy panu Barwellowi – odrzekła z goryczą w głosie. – I tak to ja odwalam za niego całą robotę. On tylko sobie siedzi przy biurku i majstruje coś przy swoim inhalatorze.

Kiedy już dotarłem na miejsce, musiałem czekać dziesięć minut pod sklepem, gdyż pan Carlton-Hayes miał kłopot ze znalezieniem miejsca do parkowania. Patrzyłem, jak idzie High Street w moją stronę. Wyglądał, jakby gonił resztkami sił. Nie wiem, jak długo jeszcze będzie w stanie prowadzić ten sklep. Cóż, takie już mam szczęście.

– Strasznie cię przepraszam, mój drogi, że musiałeś na mnie czekać – powiedział.

Wziąłem od niego klucze i otworzyłem drzwi. Kiedy już wszedł do środka, oparł się o najnowsze biografie, żeby złapać oddech.

– Gdybyśmy tu mieli parę krzeseł i ze dwie kanapy, tak jak proponowałem, mógłby pan teraz wygodnie usiąść i dojsć do siebie – powiedziałem.

– Ależ Adrianie, mój drogi, nie jesteśmy jakimś tam sklepem meblowym. My tylko sprzedajemy książki – odparł.

– W dzisiejszych czasach klienci nawet w księgarni oczekują, że będą mogli sobie usiąść, wypić filiżankę kawy i skorzystać z toalety – rzuciłem.

– Człowiek dobrze wychowany załatwia swoje potrzeby fizjologiczne, a także wypija filiżankę kawy, zanim wyjdzie z domu – odrzekł pan Carlton-Hayes.

Jak zwykle mieliśmy w sklepie w ciągu dnia tłum różnych nawiedzonych indywiduów. Jakiś miłośnik parowozów, z ryżą bródką i sklejonymi taśmą okularami, spytał mnie, czy mamy egzemplarz rozkładu jazdy kolei transsyberyjskiej z roku 1954, w dodatku po rosyjsku. Pokazałem mu nasz dział poświęcony kolejnictwu i zaproponowałem, żeby sam poszperał w zbutwiałych ulotkach na ten temat, które pan Carlton-Hayes uparcie trzyma w sklepie.

Jakaś kobieta, ostrzyżona na rekruta, z długimi, dyndającymi kolczykami, spytała, czy jesteśmy zainteresowani kupnem pierwszego wydania książki *Kobiocy eunuch*. Ja tam bym jej pewnie nie kupił. Była w bardzo kiepskim stanie: brakowało obwoluty, a strony pokryte były notatkami i wykrzyknikami, w dodatku w kolorze czerwonym. Pan Carlton-Hayes wtrącił się jednak do naszej rozmowy i zaferował kobiecie piętnaście funtów. Czasami czuję się tak, jakbym pracował w jakimś sklepie ze starzyzną, a nie w najstarszej księgarni i antykwariacie miasta Leicester.

Kiedy już mieliśmy zamykać, do sklepu weszła młoda kobieta i spytała, czy mamy książkę *Ozdoby i wyposażenie do domków dla lalek w stylu regencji*. Na ile zdążyłem się jej przyjrzeć, miała całkiem znośną figurę i niebrzydką twarz. Miała też bardzo wąskie nadgarstki i smukłe palce – dokładnie takie, jakie lubię u kobiet. Przez jakiś czas udawałem więc, że szukam tej książki na półkach.

– Jest pani pewna, że istnieje książka pod takim tytułem? – spytałem w końcu.

Odparła, że sama nawet miała kiedyś jeden egzemplarz, ale pożyczyła go koleżance-hobbystce, która wyemigrowała do Australii i zabrała go ze sobą. Wyraziłem współczucie i zacząłem wyliczać wszystkie książki, które przez ostatnie

lata pożyczylem, i których już nigdy więcej nie widzialem. Powiedziala na to, ze ma kolekcje osiemnastu domkow dla lalek i ze wlasnorecznie wykonała wiekszosc ozdob, wlasnie z obiciami malutkich krzeselek i zaslonami w maleńkich oknach. Napomknałem, ze tez bede potrzebowal, by ktos uszył mi zaslony, kiedy juz wprowadze sie do mojego nowego apartamentu na poddaszu, i spytałem, czy bylaby tym zainteresowana. Odparła, ze najdluzsze zaslony, jakie w zyciu zrobila, mialy zaledwie pientnascie centymetrow dlugosci.

Jej wlosom przydaloby sie troche farby, zeby je nieco rozjasnic, ale za to za okularami kryja sie sliczne, niebieskie oczy. Powiedzialem, ze wieczorem, kiedy juz wruce do domu, poszukam tej ksiazki w Internecie, i poprosilem, zeby zajrzala do nas nastepnego dnia.

Potem poprosilem ja o nazwisko i numer telefonu.

– Nazywam sie M. Flowers – powiedziala. – Komorki nie mam, bo to niebezpieczne dla zdrowia, ale moze pan do mnie zadzwonic na numer stacjonarny moich rodzicow – dodala i podala mi ten numer.

– Ona pracuje w Country Organics, tym sklepie ze zdrowa zywnoscia na rynku – powiedzial mi pozniej pan Carlton-Hayes.

Weszliemy na zaplecze. Ja obliczałem dzisiejszy utarg, a pan Carlton-Hayes siedzial za biurkiem, palac fajke i czytając ksiazke pod tytulem *Persja – kolebka cywilizacji*.

Spytałem go, co wlasciwie stalo sie z Persja.

– Zostala Irakiem, mój drogi – odparł.

Kiedy juz dotarłem do domu na Ashby de la Zouch, popędzilem do swojego pokoju, włączylem laptop i wpisalem *Ozdoby i wyposazenie do domkow dla lalek w stylu regencji* w wyszukiwarkę Google. Wyświetlily mi sie adresy 281 stron internetowych. Kliknałem na WoodBooks.com i okazalo sie, ze oferta wydawnictwa obejmuje rowniez pozycje pt. *Stylowe meble do domu dla lalek*, autorstwa Dereka i Sheili Rowbottomow. Poniewaz jednak nie bylo ani slowa

o stylu regencji, otworzyłem z kolei stronę wydawnictwa McMurray's Books, gdzie znalazłem dwa tytuły, które mogłyby pasować, a mianowicie: *Ozdoby i wyposażenie do domu dla lalek*, za 14 dolarów i 95 centów, i *Miniaturowe ozdoby do domu dla lalek z epoki króla Jerzego. Styl królowej Anny, wczesny i późny styl z epoki króla Jerzego oraz regencji*, za 21 dolarów i 95 centów.

Natychmiast zadzwoniłem pod numer telefonu, który podała mi pani M. Flowers.

Odebrał jakiś mężczyzna.

– Michael Flowers przy telefonie. Z kim mam przyjemność? – huknął do słuchawki.

Powiedziałem, że jestem Adrian Mole z księgarni i chciałbym rozmawiać z panną Flowers.

– Marigold! Jakiś gość z księgarni! – krzyknął.

A więc ona nazywa się Marigold Flowers! Nic dziwnego, że nie powiedziała mi w sklepie, jak ma na imię. Trochę trwało, nim podeszła do telefonu. Kiedy na nią czekałem, słyszałem, jak w tle Rolf Harris śpiewa piosenkę *Jake the Peg*. Potem poleciał kawałek *Two Little Boys*. Czy to możliwe, by ktoś w rodzinie Marigold miał winylową płytę, kasetę, kompakt czy wideo z nagraniami Rolfa Harrisa, i co gorsza ich słuchał?

W końcu w słuchawce dał się słyszeć cichutki głos Marigold:

– Witam! Przepraszam, że tak długo to trwało. Byłam właśnie w kluczowym momencie zapiekanki.

– Robienia czy jedzenia? – zażartowałem.

– Och, w trakcie robienia oczywiście. Jeśli się nie rozłoży równomiernie plasterków marchewki, można bardzo łatwo wszystko zepsuć – odparła ze śmiertelną powagą.

Przyznałem jej rację i dodałem, że najwyraźniej jest perfekcjonistką, tak jak ja. Potem wspomniałem o książkach, które udało mi się znaleźć. Powiedziała, że ma już *Ozdoby i wyposażenie do domu dla lalek*, ale wpadła w zachwyty na wieść o *Miniaturowych ozdobach...* i poprosiła, żebym zamówił dla niej jeden egzemplarz.

Żeby jeszcze chwilę z nią porozmawiać, zapytałem, czy lalki lubią domy na poddaszu. Powiedziała, że skontaktuje się w tej sprawie z Krajowym Stowarzyszeniem Miłośników Domków dla Lalek, którego jest członkiem, i że może będzie to jej kolejny projekt.

Odkładałem słuchawkę z owym prawie zapomnianym uczuciem radości i niepokoju, które ogarnia mnie zawsze wtedy, kiedy mam się zakochać.

## **wtorek 8 października**

Wczoraj wieczorem wydarzył się niewiarygodny wprost zbieg okoliczności. Otóż moja matka rozmroziła sobie zapiekanekę, którą zrobiła parę tygodni temu. Kawałki marchewki rozłożone były byle jak. To na pewno jakiś znak. Zapytałem matkę, co ją skłoniło do tego, by wyjąć zapiekanekę z zamrażarki.

– Głód – odrzekła.

## **środa 9 października**

Przyszedł list od Glenna.

*Królewski Korpus Logistyczny  
Koszary w Deepcut  
Hrabstwo Surrey*

*Drogi Tato!*

*Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, bo u mnie tak. Przepraszam, że wcześniej żem nie pisał. Byłem strasznie zajęty, bo przechodziłem podstawowe przeszkolenie. Gonią nas tu przez cały tydzień, 24 godziny na dobę. Cały czas na nas wrzeszczą i nam dogryzają. Niektóre chłopaki płaczą po nocach w salach. Ja też czasem mam ochotę stąd wyjść i wrócić do domu, Tato. Liczę, że jakoś wytrzymam. Przyjedziesz na moją przysięgę w piątek 1 listopada? Chciałbym, żeby Mama, Babcia i Dziadek też przyjechali. Wiem, że William nie będzie mógł przyjechać, bo jest w Afryce. Myślę, Tato, że źle*

*zrobileś, że się zgodziłeś, żeby zamieszkał z matką. Przecież to Ty go wychowałeś. Powinieneś go zatrzymać przy sobie, w Anglii. Wiem, że Jo Jo jest fajna, ale William nie mówi po nigeryjsku i nie lubi nigeryjskiego jedzenia. Kiedyś widziałem w telewizji Pandorę. Powiedziałem paru chłopakom, że była kiedyś dziewczyną mojego ojca, ale nikt mi nie uwierzył, bo ona jest taka elegancka. Teraz robią sobie ze mnie jaja, Tato, i nazywają mnie „baron Bott”. To tyle nowości.*

*Pozdrawiam serdecznie,  
Twój syn Glenn*

*Właśnie żem sobie coś przypomniał: powiedz Babci Paulinie, że na przysięgę musi przyjść w czapce. Takie są przepisy.*

Po cholere napisał: „Twój syn”? Iluż ja niby znam Glenów, którzy są teraz w wojsku?

Pokazałem list matce.

– Włożyłem tę czapkę z nerek, którą od trzydziestu lat trzymam w szafie. Na placu apelowym nikt nie będzie chyba urządził żadnych protestów przeciwko okryciom z prawdziwego futra, co? – powiedziała.

## **czwartek 10 października**

Dziś rano wszedł do sklepu jakiś grubas w średnim wieku i poprosił o „czysty egzemplarz” książki *Couples* Johna Updike’a.

Odparłem – dosyć dowcipnie, jak mi się zdawało – że „czysty egzemplarz” tej książki to z pewnością oksymoron.

– Ma pan tę książkę czy nie? – rzekł podenerwowany grubas.

Pan Carlton-Hayes słyszał naszą rozmowę i zaczął już szukać na półkach z prozą amerykańską. Wreszcie znalazł *Couples* i wetknął książkę w tłuste łapska grubasa, mówiąc:

– To fascynujący dokument obyczajowy, poświęcony obyczajom seksualnym ludzi, którzy moim zdaniem mają zbyt wiele wolnego czasu.

Grubas mruknął, że bierze tę książkę. Kiedy wychodził ze sklepu, widziałem, jak na mnie spojrzał, i wyraźnie słyszałem, jak coś mamrocze pod nosem. W pierwszej chwili wydało mi się, że powiedział: „A to baran!”. Później jednak pomyślałem, że równie dobrze mógł utrwać sobie poznane właśnie nowe słowo: „oksymoron”.

Nigel wpadł do sklepu dzisiejszego popołudnia po wizycie w klinice okulistycznej w Royal Hospital. Podobno jest moim najlepszym przyjacielem, a minęło już ponad pół roku, odkąd widziałem go na oczy.

Kiedy ostatnim razem rozmawiałem z nim przez telefon, powiedział, że ma już dosyć gejowskich klubów na prowincji, do których faceci przychodzą głównie dla towarzystwa i samopotwierdzenia, zamiast, tak jak w Londynie, dla „muzyki i seksu”.

Powiedziałem mu wtedy, że życie to nie tylko muzyka i seks.

– I tu się właśnie różnimy, Molek – odparł.

Byłem wstrząśnięty, widząc, jak bardzo się zmienił. Ciagle jest przystojny, ale jego twarz wydaje się nieco zaniedbana, i najwyraźniej minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz odwiedził swojego fryzjera i stylistę.

Wciąż był zaszokowany tym, co przed chwilą usłyszał.

– Lekarz zbadał mi wzrok, a potem strasznie długo milczał. W końcu powiedział: „Panie Hetherington, czy pan sam przyjechał tutaj samochodem?” Powiedziałem mu, że przyjechałem sam, i to aż z Londynu. A on na to: „Obawiam się, że nie mogę panu pozwolić prowadzić w drodze powrotnej. Wzrok tak bardzo się panu pogorszył, że zamierzam wpisać pana do rejestru osób niedowidzących”.

Rozpaczliwie szukałem w głowie czegoś optymistycznego; czegoś, co mogłoby go pocieszyć. Udało mi się wymyślić tylko tyle:

– Zawsze lubiłeś chodzić w ciemnych okularach, Nigel. Teraz będziesz mógł je nosić przez cały rok, we dnie i w nocy, i nikt nie będzie mówił, że to jakiś durny szpan.

Nigel oparł się o stół z przecenionymi książkami, spychając przy tym na bok cały stos nietkniętych egzemplarzy *Finnegans Wake*. Pewnie podsunąłbym mu krzesło, gdybyśmy mieli w sklepie chociaż jedno.

– Jak mam żyć bez samochodu, Molek? – jęknął Nigel.  
– Jak się dostanę z powrotem do Londynu? I jak mogę pracować jako analityk mediów, kiedy nie będę w stanie czytać tych wszystkich pieprzonych gazet?

Odparłem, że jeśli rzeczywiście niedowidzi, to może i dobrze, że nie jedzie teraz autostradą M1 i nie ma do czynienia z ruchem ulicznym w Londynie.

– Ostatnio popełniam w pracy mnóstwo błędów. I już od miesięcy nie jestem w stanie czytać normalnego druku bez szkła powiększającego – przyznał.

Zadzwoiłem do sieci Computa Cabs i zamówiłem taksówkę, żeby odwiozła Nigela do domu jego rodziców. Operator powiedział, że większość kierowców jest teraz w meczecie, gdzie modlą się o pokój, ale postara się jak najszybciej podesać jakąś taryfę.

Kiedy już czekaliśmy na taksówkę, zaproponowałem Nigelowi, żeby nauczył się alfabetu Braille’a.

– Nigdy nie miałem zdolności manualnych, Molek – odparł.

Spytałem go, czy jeszcze rozróżnia kolory.

– Już w ogóle mało co rozróżniam – odrzekł.

Byłem głęboko wstrząśnięty. Miałem nadzieję, że Nigel pomoże mi urządzić mieszkanie na poddaszu. Kiedyś miał całkiem niezłe oko do kolorów.

Pomogłem mu wsiąść do taksówki i powiedziałem kierowcy, dokąd ma go zawieźć.

– Ale mówić to ja jeszcze potrafię, Molek! – wrzasnął rozwścieczony Nigel.

Mam nadzieję, że nie stanie się jednym z tych zgorzkniałych ślepców, takich jak pan Rochester z *Jane Eyre*.

## piątek 11 października

Dziś rano zadzwoniłem do Johnny'ego Bonda z Latesun Ltd i znów awanturowaliśmy się o te 57 funtów i 10 pensów.

– Czy pański kumpel, pan premier, wydusił już z siebie coś na temat tych dowodów? – zakpił Bond.

Odparłem mu na to, że pan Blair przebywa właśnie w domku myśliwskim pana Putina, usiłując go namówić, by wraz z Wielką Brytanią i Ameryką stanął do walki z Saddamem Husajnem.

– Nigdy w życiu nie uda mu się skłonić Rosji, Niemiec i Francji, żeby poparły tę jego nielegalną awanturę – powiedział Bond.

## sobota 12 października

Firma kurierska FedEx dostarczyła egzemplarz *Miniaturowych ozdób do domku dla lalek epoki króla Jerzego* dzisiaj rano, co zrobiło ogromne wrażenie na panu Carltonie-Hayesie.

– Gdybyśmy mieli w sklepie komputer, proszę pana, moglibyśmy zamawiać książki przez Internet i podwoić obroty – powiedziałem.

– Ależ, mój drogi Adrianie, przecież i tak całkiem nieźle sobie radzimy, nieprawdaż? – odparł. – Obaj mamy z czego żyć, pokrywamy na bieżąco koszty i spędzamy czas wśród naszych ukochanych książek. Czyż nie jest nam dobrze tak, jak jest?

Nie było to pytanie retoryczne. On naprawdę chciał znać odpowiedź. Bąknąłem coś o tym, jak bardzo lubię pracę w księgarni; ale tak naprawdę, drogi dzienniku, bardzo chciałbym zmodernizować to miejsce. Przecież nie mamy nawet kasy z prawdziwego zdarzenia.

W porze lunchu poszedłem na rynek. Marigold była w sklepie ze zdrową żywnością i polecała właśnie fasolkę meksykańską jakiejś mizernie wyglądającej kobiecie

z pierwszymi objawami depresji. Kiedy klientka sobie poszła, ściskając w rękach torbę z papieru z odzysku, powiedziałem do Marigold:

– Pomyślałem, że dostarczę ją osobiście.

Marigold wyjęła książkę z firmowej koperty i zawołała:

– Mamo! Już przysłali!

Do lady podeszła kobieta, która z twarzy przypominała śliczną, pulchniutką świnkę. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał aż tak różowe oblicze. Albo ma jakieś uczulenie, albo przydarzył jej się niedawno nieszczęśliwy wypadek w solarium.

– Miło mi panią poznać, pani Flowers – powiedziałem i wyciągnąłem rękę na powitanie.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, nie podam panu ręki – rzekła.

Marigold poczuła się niezręcznie i wyjaśniła:

– Mamusia uważa, że to przestarzała forma powitania.

Pani Flowers wzięła książkę i przekartkowała ją pobieżnie, jeszcze bardziej zwiężając przy tym swoje zezowate oczka. Marigold obserwowała ją z niepokojem, jakby w oczekiwaniu na werdykt. Nawet ja zacząłem się trochę denerwować. Zawsze czuję się nieswojo w obecności kobiet, które są ode mnie wyższe.

– Nie wiedziałem, że ta książka jest dla pani, pani Flowers – odezwałem się.

– Nie, nie dla mnie – odparła. – Ale Marigold łatwo można naciągnąć. Ile zamierza jej pan za to policzyć?

Powiedziałem, że książka kosztuje 21 dolarów i 95 centów, a koszty wysyłki to kolejne 25 dolarów.

– A ileż to będzie w porządnej angielskiej walucie? – spytała pani Flowers.

Wręczyłem jej fakturę.

– Co?! Prawie trzydzieści funtów?! Za taką małą książeczkę, która ma ledwie 168 stron?

– Ale w ciągu trzech dni dostarczono ją tutaj z Ameryki pocztą lotniczą, proszę pani – wyjaśniłem.

Cisnęła książkę na ladę i rzekła do Marigold:

– Jeśli chcesz roztrwonić wszystkie swoje pieniądze, to proszę bardzo, ale w takim razie wychodzimy z ojcem na głupców, oszczędzając, na czym się tylko da, i usiłując utrzymać ten interes.

– Może powinienem zabrać książkę z powrotem – powiedziałem do Marigold.

– Może rzeczywiście powinien pan ją zabrać. Bardzo mi przykro – odparła cichutko.

Po powrocie do sklepu powiedziałem panu Carltonowi-Hayesowi, że klientka nie jest już zainteresowana *Miniaturowymi ozdobami do domku dla lalek w stylu epoki króla Jerzego*.

– Nie martw się, Adrianie – odparł. – Jestem pewien, że w Leicester znajdzie się przynajmniej jeszcze jedna osoba, która interesuje się miniaturowymi ozdobami w tym stylu.

## **niedziela 13 października, księżyc w pierwszej kwadrze**

Przyszedł e-mail od Rosie:

*Aidy, widziałeś w wiadomościach zamach bombowy na Bali? Moja przyjaciółka Emma leci właśnie do Australii przez Bali. Proszę, czy mógłbyś za mnie zadzwonić pod ten numer, który podali w telewizji? Ja już nie mam nic na karcie. Dziewczyna nazywa się Emma Lexton i ma dwadzieścia lat.*

Oto, co jej odpisałem:

*Informacji udziela się tylko najbliższej rodzinie i krewnym. Wysyłam Ci dziesięć funtów przesyłką priorytetową. Nie dawaj ich czasem Simonowi. I proszę Cię, zadzwoń do Mamy. Martwi się o Ciebie.*

## **poniedziałek 14 października**

Nie dostałem jak dotąd żadnej odpowiedzi od wielce szanownego Tony’ego Blaira, Jordan ani Beckhama.

*Drogi Panie Blair!*

*Być może mój list z 29 września gdzieś się zapodział lub po prostu został przeoczony w panującym w ostatnich dniach zamieszaniu. Załączam jego kopię i byłbym wdzięczny za rychłą odpowiedź. Moje biuro podróży, Latesun Ltd, nadal odmawia zwrotu kaucji w wysokości 57 funtów i 10 pensów.*

*Pozostaję Pańskim pokornym i uniżonym sługą,  
A.A. Mole*

Na dzisiejszym wieczornym spotkaniu Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland pojawiła się nas zaledwie czwórka: ja, Gary Milksop, Gladys Fordingbridge i Ken Blunt. Siedzieliśmy jak zwykle w saloniku Gladys, otoczeni różnymi ozdobami w kształcie kotów i w kocie wzorki oraz zdjęciami jej bardzo licznej rodziny.

Rozpocząłem zebranie, czytając fragmenty mojego monologu dramatycznego pt. *Moby Dick ma głos*, z którego czytelnik dowiaduje się, jak wygląda polowanie przy użyciu harpuna z punktu widzenia wieloryba.

Po pewnym czasie lekturę przerwała mi Gladys, mówiąc:  
– Nic a nic z tego nie rozumiem. O co tu chodzi? To niby ta ryba ma mówić, czy co?

Ken Blunt zgasił papierosa w popielniczce w kształcie kota i rzekł:

– Gladys, wieloryb nie jest rybą, tylko ssakiem.

Czytałem dalej, choć już wiedziałem, że nikt mnie nie słucha.

Kiedy skończyłem, Gary Milksop wybełkotał nerwowo:

– Podobał mi się ten kawałek o tym, że kapitan Ahab wyglądał jak człowiek, który urodził się bez duszy.

Gladys przeczytała swój najnowszy grafomański wierszyk o kotach – coś w rodzaju „Kocham moją małą kotkę, tę kokietkę i ślicznotkę...”. Ponieważ Gladys ma osiemdziesiąt sześć lat, wiersz nagrodzono oczywiście burzą oklasków.

Potem Milksop przeczytał najnowszy rozdział tej swojej powieści w stylu Prousta, którą pisze i poprawia od piętnastu lat. Potrzebował aż dwóch tysięcy słów, żeby opisać wra-

zenie, jakie wywarł na nim pierwszy czekoladowy batonik, który zjadł w swym życiu.

Niestety, Milksop płacze, gdy się go skrytykuje.

Ken Blunt powiedział więc:

– Dobra robota, Gary. Podobał mi się fragment o tym, jak batonik rozpuszczał się w herbacie.

Poinformowałem członków koła, że nie udało mi się jeszcze załatwić specjalnego prelegenta na naszą świąteczną kolację, zaplanowaną na 23 grudnia. Dodałem, że mam oczywiście kilka opcji i sprawy są w toku.

Ken powiedział, że nie napisał niczego na dzisiejsze spotkanie, bo pracował na dwie zmiany w wytwórni chrupek. Wprowadzają właśnie nową linię produkcyjną.

– Jaki to będzie smak? – spytała Gladys.

– Podpisałem deklarację poufności – odparł Ken.

– Chyba się naoglądałaś za dużo sensacyjnych seriali o szpiegach. Tu chodzi tylko o parę żalonych chipsów – powiedziała Gladys.

Aby zmienić temat, zawiadomiłem ich, że już niedługo przeprowadzam się do apartamentu na poddaszu starej fabryki akumulatorów na Nabrzeżu Szczurów, i że w przyszłości tam właśnie będą mogły się odbywać nasze spotkania.

– Mój mąż kiedyś tam pracował – rzekła na to Gladys.

– Biedak, wylał na siebie jakiś kwas. Mało brakowało, a nie byłby już mężczyzną.

Doprawdy, drogi dzienniku, to nie osoby pokroju Gladys miałem na myśli, kiedy zakładałem Koło Literackie hrabstwa Leicester i Rutland.

## **wtorek 15 października**

W porze lunchu przyszła Marigold i kupiła *Miniaturowe ozdoby do domku dla lalek w stylu epoki króla Jerzego*. Poprosiła mnie, żebym nie mówił o tym jej matce. Powiedziała, że będzie trzymać książkę na strychu, tam, gdzie stoi większość jej domków dla lalek. Wyjaśniła, że żadne z rodziców nie jest w stanie wspiąć się po drabinie.

Odparłem, że bardzo chciałbym obejrzeć jej kolekcję domków dla lalek, i że ja z pewnością będę w stanie wspiąć się po drabinie.

Wyjaśniła, że jej rodzice mają „dziwne zapatrywania” na sprawę odwiedzin w ich domu.

– Nigdy nie wychodzą z domu? – spytałem.

Odparła, że wychodzą w piątkę na spotkania Towarzystwa Miłośników Madrygałów.

– No proszę, cóż za zbieg okoliczności! – odrzekłem. – Piątek to mój jedyny wolny wieczór w tygodniu – dodałem, uśmiechając się przy tym, żeby jej pokazać, że to taki żarcik, i spróbować nieco ją rozluźnić.

Domki dla lalek nie interesują mnie ani trochę. Ostatni, który widziałem, należał do Rosie. Było to ohydne, plastikowe niby-rancho, na którym mieszkała Barbie i jej chłopak Ken.

Spytałem Marigold, czy po pracy nie zechciałaby pójść ze mną na drinka. Powiedziała, że ma raczej kiepską głowę do alkoholu.

– To może na kawę? – zapytałem.

– Kawę?! – krzyknęła, jakbym zaproponował co najmniej krew świeżo zaszlachtowanego prosięcia.

Powiedziałem, że podobno czerwone wino jest dobre na układ krążenia.

– Dobrze, w takim razie wypiję z panem lampkę czerwonego wina, ale nie dzisiaj. Muszę uprzedzić rodziców.

– A jutro?

– W porządku – odparła – ale będzie mnie pan musiał odwieźć do domu. Mieszkamy w Beeby nad rzeką Wold, a ostatni autobus odjeżdża o wpół do siódmej.

Nie wiedzieć czemu przez cały czas rozmawialiśmy niemal szeptem. Marigold sprawia takie wrażenie, jakby była szpiegiem zrzuconym na terytorium wroga. Ma piękną cerę. Chciałem pogłaskać ją po twarzy.

Kiedy dotarłem do domu na Ashby de la Zouch, rodzice poinformowali mnie, że postanowili go sprzedać. Jakiś idiota

zapropował im 180 tysięcy funtów za ich bliźniak razem z ohydnyymi dywanami i zasłonami. Zwróciłem im tylko uwagę, że niczego taniej nie kupią.

– I tu cię mam! – zawołał tryumfalnie mój ojciec. – Wcale nie chcemy żadnego domu. Zamierzamy kupić jakąś rudę i ją wyremontować.

Zostawiłem ich pogrążonych w lekturze lokalnego dodatku z ogłoszeniami o nieruchomościach na sprzedaż. Co jakiś czas odrywali się od gazety tylko po to, by dzwonić do właścicieli co bardziej zdewastowanych chałup w najgorszych i najbardziej niebezpiecznych dzielnicach miasta.

Ich stare, zmęczone twarze jaśniały radością. Nie miałem serca wybijać im z głowy tych szalonych planów.

Zresztą byli tak zaafekowani, że żadne z nich nawet by nie zauważyło, gdyby nagle klepka z parkietu podskoczyła w górę i dała im w nos.

## **środa 16 października**

Dziś rano starałem się włożyć wyłącznie ubrania w jak najbardziej naturalnych kolorach. Pan Carlton-Hayes pochwalił moją wodę po goleniu. Powiedziałem mu, że cztery lata temu dostałem ją na gwiazdkę od Pandory i odtąd używam jej wyłącznie na specjalne okazje. Pan Carlton-Hayes oznajmił, iż wyczytał w jakimś branżowym czasopiśmie, że Pandora napisała książkę pod tytułem *Prosto z puszki*, która ma ukazać się w lipcu 2003 r.

Spytałem go zatem, czy zamówi kilka egzemplarzy, dodając, że Pandora jest parlamentarzystką z naszego okręgu wyborczego i bez przerwy pokazuje się w wiadomościach, robiąc słodkie miny do Jeremy'ego Paxmana.

Pan Carlton-Hayes zapytał, czy to możliwe, by ktoś napisał Pandorze tę książkę. Odparłem, że to doprawdy mało prawdopodobne: Pandora ma fioła na punkcie panowania nad sytuacją; kiedyś nawet wpadła w istny szal, gdy zmieniłem stację w radiu w jej samochodzie.

Tak jak było umówione, spotkałem się z Marigold w winiarni Euro – dawnym banku Barclaysa – i siedzieliśmy dokładnie tam, gdzie zwykle stała kolejka z wpłatami. Poprosiłem o kartę win. Kelner, przekrzykując rytmy salsy, oświadczył, że karty win nie ma, i że do wyboru jest tylko czerwone lub białe, w wersji słodkiej lub wytrawnej.

Marigold oznajmiła, że chce czerwone słodkie, ponieważ ma niską zawartość cukru we krwi; ja zamówiłem białe wytrawne.

W lokalu panował taki hałas, że trudno było rozmawiać. Tuż nad naszymi głowami wisiał głośnik. Patrzyłem na pozostałych klientów tego przybytku. Byli w większości bardzo młodzi i wydawali się czytać z ruchu warg. Może należeli do jakiejś wycieczki zorganizowanej przez Królewski Instytut Pomocy Ludziom Głuchym i Niedosłyszącym.

Po pewnym czasie Marigold i ja daliśmy sobie spokój z rozmową, a ona siedziała i wpatrywała się w dziesiątki srebrnych detali na swojej bransoletce-talizmanie.

Przy sąsiednim stoliku usiadła grupka kobiet, które urządziły wieczór panieński. Wszystkie były przebrane za pielęgniarki w minispódniczkach i kabaretkach. Jedna wyjęła nakręcanego penisa, który zaczął krążyć między nimi, aż wreszcie zdołał im się wyrwać, spadł i uderzył Marigold w nogę. Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy stamtąd pospiesznie.

Spytałem Marigold, czy lubi kuchnię chińską.

– Owszem, o ile nie przesadzą z glutaminianem sodu – odparła.

Kiedy mijaliśmy wieżę ratuszową, spojrzałem na tłumy zebranych pod nią młodych ludzi i zdałem sobie sprawę, że mając swoje trzydzieści cztery i pół roku, jestem prawdopodobnie najstarszym człowiekiem w najbliższej okolicy. Nawet policjanci w furgonetce na parkingu wyglądali na szczeniaków.

## **czwartek 17 października**

Minęły całe wieki, zanim udało mi się zasnąć zeszłej nocy. Leżałem sobie w ciemnościach i rozmyślałem o Marigold. To takie delikatne i wrażliwe stworzenie! Potrzebuje kogoś, kto doda jej pewności siebie i uwolni od apodyktycznych rodziców.

Zabrałem ją do chińskiej restauracji Cesarski Smok i zamówiłem zestaw C. Jedliśmy krewetki, rosół won-ton, chrupiącą kaczkę z naleśnikami, kurczaka z cytryną na miodzie i słodko-kwaśne zrazy wieprzowe z ryżem na jajku sadzonym.

Poprosiłem kelnera Wayne'a Wonga, którego znam jeszcze ze szkoły, by zabrał sztucce i przyniósł nam pałeczki. Dodałem, żeby przekazał kucharzowi, aby nie przesadzał z glutaminianem sodu.

Marigold była chyba pod wrażeniem moich kosmopolitycznych zwyczajów i swobodnego zachowania w restauracji.

Wayne posadził nas przy najlepszym stoliku w całej restauracji, tuż obok wielkiego akwarium, w którym pływały sobie japońskie karpie koi (bagatela – pięćset funtów szterlingów za sztukę).

– Chyba troszkę mnie peszą – wyznała Marigold.

Delikatnie wziąłem ją za rękę i powiedziałem:

– Nie bój się, nie wyjdą z tego akwarium.

Spytałem, czy chce, żebyśmy zmienili stolik.

– Nie, nie trzeba. Tylko że one są takie wielkie... Wolę małe rzeczy.

Pierwszy raz, odkąd osiągnąłem dojrzałość płciową, zdarzyło mi się martwić, że jakaś kobieta uzna, iż mam zbyt duże genitalia. Nie mogę się doczekać naszego kolejnego spotkania, choć to już jutro.

## **piątek 18 października**

Rosie przysłała mi wiadomość następującej treści:

*M. bezpieczna w Woolgoolga.*

Dopiero w połowie drogi do Leicester uświadomiłem sobie, czego dotyczył ten gryps.

Powiedziałem panu Carlton-Hayesowi, że wybieram się dziś wieczorem do Marigold, obejrzeć jej kolekcję domków dla lalek.

– Idziesz do domu Michaela Flowersa? – spytał zdumiony. – Uważaj na siebie, mój drogi. To okropny facet.

Spytałem go, skąd zna ojca Marigold.

– Flowers był kiedyś wiceprezesem Towarzystwa Miłośników Literatury i Filozofii w mieście. Raz doszło między nami do gwałtownej sprzeczki na temat Tolkiena. Oświadczyłem wtedy, że już pierwsze akapity *Drużyny Pierścienia* wystarczą, żeby twardemu mężczyźnie zebrało się na wymioty. Obawiam się, mój drogi, że nawet daliśmy sobie po razie na parkingu przed Biblioteką Miejską.

– Mam nadzieję, że był pan górą – powiedziałem.

– Byłem, byłem; jakżeby inaczej – odparł z rozmarzeniem.

Wyjaśniłem mu, że Michaela Flowersa i jego żony nie będzie w domu podczas mojej wizyty, gdyż wybierają się na spotkanie Towarzystwa Miłośników Madrygałów.

Kiedy poszedł na zaplecze, wziąłem do ręki egzemplarz *Drużyny Pierścienia* i przeczytałem kilka pierwszych akapitów. Zupełnie nie rozumiem, o co była ta cała awantura. A już na pewno nie było się o co bić, choć może wyrażenie „trójjedynkowe urodziny” to rzeczywiście lekka przesada.

Spojrzałem znad książki na pana Carlton-Hayesa w jego luźnej, wełnianej kamizelce. Trudno sobie wyobrazić, że ten człowiek urządził bijatyki na parkingu w centrum miasta.

Marigold kazała mi zaparkować na głównej ulicy Beeby nad rzeką Wold. Potem ruszyliśmy na przełaj przez pola ku domostwu w gotyckim stylu, w którym spędziła całe swe życie. Do środka weszliśmy tylnymi drzwiami. Powiedziała,

że nie chce, żeby sąsiedzi widzieli, jak wchodzę do domu. Rozejrzałem się dokoła: jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnych sąsiadów.

W środku było ciemno i przeraźliwie zimno. Najwyraźniej Michael Flowers nie wierzy w centralne ogrzewanie. Widocznie woli nosić kilka warstw wełnianych ciuchów i być cały czas w ruchu.

Marigold była wyraźnie zdenerwowana.

– Może to nie jest dobry pomysł – powiedziałem.

– O nie. Jestem trzydziestoletnią kobietą. Czemuż nie miałabym pokazać przyjacielowi moich domków dla lalek?  
– odparła.

Przeszliśmy przez ponury i mroczny hol. Na stole leżał stos wypożyczonych książek i kaset, oczekujących na zwrot do głównej Biblioteki Miejskiej. Był pośród nich także koncert Rolfa Harrisa.

– Rolf Harris i madrygały? – spytałem.

– Mój ojciec ma eklektyczny gust – odrzekła Marigold.

Weszliśmy na piętro, skradając się jak jacyś włamywacze. Musiałem pierwszy wyjść po drabinie na strych, bo Marigold była w spódnicy. Potem Marigold zrobiła rundkę po strychu, zapalając kolejno światła w swoich domkach dla lalek. Kilkoma pierwszymi byłem wprost oczarowany. Delikatność maleńkich szwów na ozdobach i wykończeniach naprawdę zapierała dech, a kiedy Marigold zademonstrowała mi działanie toalety ze spłuczką w jednym z domków, po prostu opadła mi szczęka. Kilka następnych domków zrobiło na mnie jeszcze całkiem spore wrażenie, ale szczerze mówiąc, drogi dzienniku, zanim obejrzałem osiemnasty z kolei, byłem już porządnie znudzony. Rzecz jasna, udawałem ożywione zainteresowanie.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy szliśmy przez pola do samochodu. Trzymałem delikatną dłoń Marigold. Chciałem się jej oświadczyć, ale pokonałem ten impuls.

Dotarliśmy z powrotem do wioski, usiedliśmy w samochodzie i rozmawialiśmy o naszych rodzinach. Oboje wiele wycierpieliśmy. Marigold powiedziała, że najbardziej boi się

tego, że nigdy nie wyrwie się z domu swoich rodziców. Jej starsze siostry, Poppy i Daisy, dały drapaką lata temu.

O dziesiątej uznała, że lepiej będzie, jak już pójdzie do domu, przygotować rodzicom późną kolację. Poglądziłem ją po twarzy. Jej skóra była tak miękka w dotyku, jak jedwabna koszula, którą kiedyś miałem. Kiedy Marigold się uśmiecha, jest niemal piękna. Ma bardzo zadbane zęby.

Gdy wróciłem do domu, opowiedziałem matce co nieco o Marigold.

– Wygląda mi to na jakiś koszmar. Posłuchaj mojej rady i trzymaj się z daleka od takich udręczonych istot. Wciągają cię tylko w swój żaloszny świat – poradziła mi, kiedy skończyłem.

No cóż, powinna wiedzieć, co mówi: w końcu wyszła za mojego ojca.

## **sobota 19 października**

Dziś w porze lunchu wszedłem do Country Organics, żeby dać Marigold książkę *Czego nie należy nosić*. Nie wspominałem o tym wcześniej, drogi dzienniku, ale Marigold nie ma kompletnie wycucia w kwestii ubioru. Jakimś cudem jeszcze do niej nie dotarło, że nie wkłada się nylonowych skarpetek do spódnicy do pół łydki. Albo że seledynowe buty to dość kiepski pomysł.

Kiedy spojrzała na tytuł, dolna warga zaczęła jej drżeć, a do oczu napłynęły łzy. Najwyraźniej poczuła się dotknięta.

Za ladą stał wielki, napuszony facet, ubrany w długi, mechaty sweter z rękawami i wzorkiem w drzewka, ewidentnie zrobiony na drutach przez przyjaciela, a raczej wroga. Grzmiącym głosem uświadamiał jakiejś podstarzałej parze zagrożenia związane z roślinami uprawnymi modyfikowanymi genetycznie.

– Powiedzmy sobie szczerze – i zapamiętajcie państwo moje słowa – za pięćdziesiąt lat nie pozostanie w tym kraju ani jedno drzewo. Jeśli będzie się uprawiać rośliny mo-

dyfikowane genetycznie, możemy się pożegnać z naszym plectwem i motylami. Czy tego właśnie państwo chcecie? – grzmiał zza lady.

Starsi państwo zgodnie pokręcili głowami.

Jego kompletnie łysa łepetyna połyskiwała we fluorescencyjnym świetle. Ryża broda aż się prosiła o przystrzyżenie. Był to Michael Flowers. Znienawidziłem go od pierwszego wejrzenia. Miałem ochotę wrzasnąć: „Tak, Flowers, już wprost nie mogę się doczekać, aż drzewa, ptaki i motyle przejdą do historii”. Oczywiście, drogi dzienniku, nie zrobiłem tego.

Marigold musiała wyczuć, w jakim jestem nastroju. Nie przedstawiła mnie ojcu. Wyszedłem ze sklepu z ciężkim sercem.

## **niedziela 20 października**

Ponieważ moi rodzice są akurat bez samochodu, poprosili mnie, żebym ich podrzucił na Harrow Street w dzielnicy Grimshaw, by mogli obejrzeć to, co ojciec nieco górnolotnie nazwał nieruchomością. Na zdjęciu, które dostali od pośrednika, widać było zabita deskami rudę z płaskim dachem i jakąś roślinnością wyrastającą z komina.

Zwróciłem im uwagę, że, zdaniem policji, okolice Harrow Street to rejony zakazane. Usłyszałem tylko, że po obejrzeniu „nieruchomości” obiecali wpaść na kawę do Tani Braithwaite. Miała być też Pandora, która przyjechała w odwiedzinach do matki w drugą rocznicę śmierci ojca. Ciągłe na dźwięk jej imienia robi mi się miękko w kolanach, więc byłem w ich rękach jak wosk.

Wizyta na Harrow Street 5 okazała się kompletną stratą czasu. Ojciec był zbyt przerażony, żeby w ogóle wysiąść z samochodu. Matce starczyło odwagi tylko na tyle, by zajrzeć do wnętrza przez skrynkę na listy. Powiedziała potem, że stadko gołębi włamało się do środka i rozgościło na dobre. Mówiła o tym tak, jakby ptaki siedziały na fotelach, popijając

herbatę, i oglądając telewizję.

Kiedy matka wracała do samochodu, podszedł do niej jakiś nastolatek w bluzie z kapturem naciągniętym na twarz i zapytał:

– Te, laska, chcesz trochę dobrego towaru?

– Dziękuję, nie skorzystam – odparła matka, takim tonem, jakby odmawiała przyjęcia katalogu z hipermarketu.

Potem odwróciła się do ojca, który siedział z tyłu, i spytała:

– Pamiętasz jeszcze tamte sobotnie wieczory, kiedy paliśmy trawkę, George?

– Cii! – syknął ojciec. – Tylko nie przy Adrianie, Paulino!

– Kiedy to było? Byłem już na świecie? – zapytałem zaintrygowany.

– Ależ skąd, Adrianie. To były lata sześćdziesiąte. Wszyscy wtedy palili – rzekła matka tonem usprawiedliwienia.

– Wszyscy? Babcia Mole i Winston Churchill też? – spytałem zdegustowany.

Nie odzywałem się do nich aż do chwili, kiedy dotarliśmy do domu Tani.

Pandora wyglądała wprost oszołamiająco w kremowym żakiecie i spodniach. Nigdy nie przestanę jej kochać.

Na kredensie stało wielkie zdjęcie Iwana, a przy nim płonąca świeca i wazon z czerwonymi kwiatami. Zdjęcie pochodziło jeszcze z czasów, kiedy Iwan był mężem Tani. Nikt nie wspominał o tym, że przebywał właśnie w podróży poślubnej z moją matką, kiedy się utopił. Ani o tym, że mój ojciec mieszkał z Tanią, kiedy wydarzyła się ta tragedia.

Kiedy Pandora wyszła do ogrodu, żeby sobie zapalić, poszedłem za nią i spytałem, czy jako gwiazda zgodzi się udzielić wywiadu do mojej książki *Śława i obłęd*.

Odrzuciła w tył włosy w kolorze melasy i warknęła:

– Jak śmiesz nazywać mnie gwiazdą!?! Jestem poważnym politykiem i mam tyle obowiązków, że już nie wyrabiam.

Powiedziałem, że wiele razy widywałem ją na stronach czasopisma „Hello!”, uwieszoną u ramion różnych podstarzałych typów.

Odparła, że jest bezsilna wobec paparazzich. Paliła w milczeniu, a ja wpatrywałem się w jej śliczną twarzyczkę. Potem westchnęła głęboko. Spytałem ją, o co chodzi.

Powiedziała, że brak jej ojca, i dodała:

– Czy twoja matka kiedykolwiek rozmawiała z tobą o jego śmierci?

Powiedziałem, że wiem tylko tyle, co napisali w gazetach, i że ta tragedia wywołała u mojej matki głęboki uraz, który każe jej milczeć.

– Tak głęboki, że nie minął nawet tydzień od jego pogrzebu, jak odbiła mojej matce twojego ojca – rzekła z goryczą Pandora.

– Takie zachowanie jest typowe dla dzieci wyżu demograficznego, Pandoro. Całe to pokolenie jest moralnie zepsute.

Wyznałem jej, że w latach sześćdziesiątych moi rodzice byli uzależnieni od trawki. Roześmiała się i powiedziała, że kilka skrętów w sobotni wieczór to jeszcze nie nałóg.

Wspomniałem o biednym, ślepnącym Nigelu, a ona odparła, że już o wszystkim wie, i skontaktowała go nawet z szefem Królewskiego Instytutu Pomocy Ludziom Ślepym i Niedowidzącym.

– Żeby mu pomógł? – spytałem.

– Nie, żeby Nigel pomógł im zbierać fundusze – odparła. – Nigel ma dobre układy ze środowiskami gejów. Przez niego łatwo będzie dotrzeć do funtów z różowego źródła.

Tania zawołała nas na herbatę i spędziliśmy krępującą godzinę, jedząc, pijąc i wspominając biednego Iwana. Oczywiście wszyscy byliśmy na tyle ostrożni, by nie mówić o okolicznościach jego tragicznej śmierci w morskich odmętach.

Żeby jakoś rozładować napiętą atmosferę, powiedziałem Pandorze, że napisałem do Tony’ego Blaira, prosząc go o nadesłanie jakichś dokumentów, potwierdzających jego oświadczenie o broni masowego rażenia i istnieniu realnego

zagrożenia dla Cypru w ciągu czterdziestu pięciu minut od decyzji o jej użyciu.

– Ten głupi sknera trzęsie się ze strachu, że może stracić swoją zaliczkę – skomentowała to moja matka.

Pandora powiedziała, że teraz bardzo rzadko widuje pana Blaira, ponieważ premier ciągle jest za granicą. Spytałem ją, czy wojna z Irakiem jest nieunikniona.

– Słyszałam plotkę, że Ministerstwo Obrony ma zmobilizować rezerwistów ze służb medycznych – odrzekła.

– Czyli w szpitalach będzie jeszcze mniej lekarzy i pielęgniarek – orzekła moja matka.

Matka najwyraźniej mnie oplotkowała, kiedy wyszedłem z Pandora do ogródka, ponieważ teraz Tania zagadnęła:

– Słyszałam, Adrianie, że masz nową przyjaciółkę.

– Jak się nazywa? – wtrąciła Pandora.

Wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłem z siebie:

– Marigold Flowers.

Pandora roześmiała się, ukazując przy tym na wpeł przesuwaną kanapkę z żurawiną i serem brie, a potem rzekła:

– Jezu, cóż za komiczne nazwisko! Musisz ją do mnie przyprowadzić. Wydam na jej cześć bankiet w parlamencie.

Owszem, przyprowadzę ją, drogi dzienniku, ale dopiero wtedy, kiedy Marigold zdąży przeczytać, przyswoić sobie i zastosować rady zawarte w książce *Czego nie należy nosić*.

## **poniedziałek 21 października, pełnia**

Zadzwoił mój doradca prawny David Barwell, żeby mi powiedzieć, iż otrzymał dokumenty od Marka B'astarda i mojej firmy hipotecznej. Ostrzegł mnie przy tym, że nadal brakuje mi ośmiu tysięcy funtów. Zapytał też, jak zamierzam pokryć ten deficyt.

– Ale ja obliczyłem sobie na moim kalkulatorze, że potrzeba mi tylko trzech tysięcy funtów w gotówce – odparłem.

– Może kończyły się panu baterie – odparł na to Barwell.

– Ależ on działa na energię słoneczną!

– Ale nie mieliśmy ostatnio zbyt dużo słońca, prawda, panie Mole? Najwyraźniej pomylił się pan w rachunkach – dodał, po czym spytał ponownie, jak zamierzam zdobyć brakujące pieniądze.

Powiedziałem mu, że posiadam cztery tysiące ciężko zapracowanych oszczędności w towarzystwie budowlanym Alliance and Leicester, a resztę mam nadzieję skądś pożyczyć.

– Prawo nie opiera się na nadziejach, panie Mole, tylko na pewnikach. Przed końcem tygodnia będzie pan musiał dostarczyć do mojego biura całą kwotę albo lokal znajdzie się z powrotem na rynku – stwierdził Barwell.

Potem spytał, czy chcę, żeby mnie skontaktował z niezależnym doradcą finansowym. Powiedziałem mu, że to właśnie za radą takiego niezależnego doradcy mój ojciec założył konto emerytalne w funduszu „Godne Życie”.

Barwell milczał przez długi czas, po czym rzucił:

– Trafiony – zatopiony.

Niezwłocznie zadzwoniłem do mojego banku w Kalkucie i przedstawiłem swoją sytuację kobiecie, która odebrała telefon. Powiedziała, że wyśle mi formularz wniosku o pożyczkę bankową.

Spytałem, czy wniosek będzie szedł pocztą z Kalkuty.

– Ależ nie – odparła. – Z Watford.

## **wtorek 22 października**

Ani śladu formularza.

Po pracy widziałem się z Marigold. Miała we włosach plastikową opaskę w szkocką kratę.

## **środa 23 października**

Jeszcze raz zadzwoniłem do Kalkuty. Jakiś gość powiedział mi, że formularz wniosku o pożyczkę został wysłany

w poniedziałek 21 października do niejakiego A. Vole'a, do Leicester w stanie Karolina Północna, w USA.

Zażądałem, żeby wysłano go powtórnie, i podałem właściwe nazwisko i adres. Dodałem, że sprawa jest pilna.

Dziś wieczorem *Życie Pi* dostało nagrodę Bookera. Matka spytała mnie, o czym jest ta książka. Powiedziałem jej, że o hinduskim chłopcu, na poły chrześcijaninie, na poły muzułmaninie, który spędza rok na tratwie na Pacyfiku z tygrysem bengalskim.

– Dlaczego ten tygrys nie pożarł chłopca? – spytała.

– Gdyby tygrys pożarł chłopca, nie byłoby powieści – odparłem.

– Ale to przecież nie trzyma się kupy – upierała się matka.

Tu wtrącił się mój ojciec, powszechnie znany krytyk literacki, mówiąc:

– Dzieciak nie przeżyłby nawet pięciu minut z wygłodniałym tygrysem.

– To tylko taka alegoria – powiedziałem i wyszedłem z kuchni, nie czekając, aż zaczną mi zadawać szczegółowe pytania dotyczące stanu technicznego tratwy.

## **czwartek 24 października**

Zaniósłem mój garnitur od Hugo Bossa do pralni chemicznej i zwróciłem kobiecie za ladą uwagę na białe plamy na spodniach. Oczywiście wytłumaczyłem jej przy tym, że wykipiało mi mleko, i że stało się to w ostatnie Boże Narodzenie.

Matka zadzwoniła do mnie do pracy i powiedziała, że przyszedł list z banku Barclaya. Poprosiłem, by go otworzyła i przeczytała mi przez telefon. Po potwornie długiej chwili oczekiwania (na miłość boską, ile czasu można otwierać kopertę!?) matka powiedziała mi, że był to stan karty Visa. Jednakże do sprawozdania dołączony był czek in blanco i list następującej treści: „Szanowny Panie Mole! Załączony czek można wykorzystać tam, gdzie mogą być kłopoty z respek-

towaniem Pańskiej karty bankowej, np. przy płaceniu rachunków za media, zakupach w małych sklepach, remontach w domu lub opłatach szkolnych. Obowiązują odsetki jak przy operacjach gotówkowych. Prosimy zapoznać się z warunkami zamieszczonymi na odwrocie sprawozdania”.

Spytałem matkę, jakie to warunki.

Pospiesznie przeczytała tekst na odwrocie sprawozdania i powiedziała:

– Jest tu coś o tym, że „...na dowolną kwotę, o ile zmieści się Pan w limicie kredytowym...”.

Zapytałem, jakie będą odsetki od czeku.

– Dwa procent od przekazów gotówkowych – powiedziała, po czym dodała: – Jest tu jeszcze napisane, że twój limit kredytowy wynosić dziesięć tysięcy funtów. Jak ci się udało ich na to naciągnąć?

Powiedziałem jej, że bank Barclaya był dla mnie niezwykle uprzejmy w latach dziewięćdziesiątych, kiedy miałem w telewizji kablowej swój show *Podróbki bez podróbki*.

– Ale przecież nie zarobiłeś na tym programie ani grosza! – powiedziała zdumiona.

– To prawda, nie zarobiłem, ale liczy się zaufanie. A w banku Barclaya we mnie wierzą – odparłem z dumą.

Poprosiłem matkę, by wyświadczyła mi wielką przysługę i przywiozła czek do księgarni, żebym mógł go natychmiast wypisać i dostarczyć do biura Barwella. Zgodziła się – i to niechętnie – dopiero wtedy, kiedy powiedziałem, że inaczej stracę szansę na własne mieszkanie na poddaszu.

– I tak muszę kupić sobie buty na przysięgę Glenna – powiedziała zrezygnowana.

O co chodzi kobietom z tymi butami? Dlaczego muszą mieć nowe obuwie na każdą okazję? Ja tam mam trzy pary butów: jedne czarne, jedne brązowe i jeszcze klapki, na wakacje. I w zupełności zaspokaja to moje potrzeby.

## 22.00

Barwell kazał zdjąć ten dywan, który wywoływał ataki astmy, i zastąpić go laminowanymi panelami.

Czek na kwotę ośmiu tysięcy funtów, wypisany dla Davida Barwella i podpisany „A. Mole”, spoczywa już bezpiecznie w systemie komputerowym.

Angela kazała mi podpisać cały stos prawniczych dokumentów. Spytała, czy chcę je przedtem przeczytać.

Pospiesznie rzuciłem na nie okiem i powiedziałem:

– To dla mnie i tak czarna magia.

– Dla pana Barwella to również czarna magia – odparła, po czym spojrzała w stronę jego gabinetu i dodała z goryczą: – Teraz narzeka na panele. Zdaje się, że są za śliskie.

Jeśli wierzyć Angeli, już za tydzień będę mógł się wprowadzić do mojego apartamentu na poddaszu!

## **piątek 25 października**

### **21.45, Wisteria Walk**

Chowając wszystkie te papiery dotyczące moich finansów do swojego ogniodpornego schowka, przeczytałem sobie dla pewności list z banku Barclaysa, w którym tak gorąco namawiano mnie, bym wykorzystał czek. Z krańcowym zdumieniem, niepokojem i wreszcie zgrozą przeczytałem, że stopa procentowa wynosi 21,4 procent, a nie, jak omyłkowo podała mi matka przez telefon, dwa procent. Te dwa procent to opłata, jaką pobierają za wprowadzenie czeku do systemu komputerowego. Bagatela – 160 funtów.

Od dobrych paru dni nie było słońca, więc zamiast zdać się na swój kalkulator, zadzwoniłem do mojego przyjaciela Parveza, który właśnie zdał egzaminy na księgowego.

Powiedział mi, że bierze 25 funtów za pierwsze dziesięć minut rozmowy, w czasie której udziela porad finansowych, a potem po dwa funty za każdą kolejną minutę. Co prędzej podałem mu liczby i spytałem, ile tak naprawdę przyjdzie mi zapłacić za moje osiem tysięcy funtów kredytu.

Po upływie jedenastu minut, w czasie których Parvez zadawał mi mnóstwo czasochłonnych i zupełnie niepotrzebnych pytań, usłyszałem wreszcie:

– Zrobili cię na szaro, bracie. Będziesz im płacił co najmniej 162 funty i 34 pensy miesięcznie. W tej sytuacji spłata kredytu zajmie ci trzynaście lat i trzy kwartały, i wyniesie w sumie 26680 funtów i 88 pensów, oczywiście pod warunkiem, że stopy procentowe się nie podniosą. Wpadłeś w pułapkę, która się nazywa procent składany. Niezły bigos, co, Molek?

Po chwili rzekł:

– Słuchaj, przyjmuję właśnie nowych klientów. Chcesz się umówić na spotkanie?

– Nie mogliśmy po prostu pójść razem na drinka i przy okazji trochę o tym pogadać? – zaproponowałem.

– Księgowość i finanse to nie jest moje hobby, Molek – odparł Parvez.

Zgodziłem się przyjść do niego na spotkanie robocze i spróbować poukładać moje sprawy finansowe.

## **sobota 26 października**

Odwiozłem samochód do warsztatu. Lesowi, mechanikowi, powiedziałem, że od czasu do czasu słyszę jakieś stukanie dochodzące gdzieś z silnika.

– Jakiego typu stukanie? – zapytał rzeczowo.

– To tak, jakby mały uwięziony człowieczek usiłował zwrócić na siebie moją uwagę – odparłem.

Les mruknął tylko, że to raczej nawala czop korbowy.

Powiedziałem, że w piątek jadę autem na przysięgę do syna, do Deepcut w hrabstwie Surrey.

– To się jeszcze okaże – odrzekł złowieszczo.

## **niedziela 27 października**

Pandora miała rację: mobilizują lekarzy i pielęgniarki rezerwistki. Wielka Brytania jest teraz w stanie wojny.

Wieczorem zadzwoniłem do Marigold.

Odebrała jej matka, mówiąc: „Tu Netta Flowers”.

Spytałem, czy mogę rozmawiać z Marigold, ale Netta odparła:

– Jest teraz na strychu. Nie śmiem jej przeszkadzać.

Brzmiało to tak, jakby Marigold była kimś w rodzaju obłąkanej żony pana Rochester.

Zacząłem pakować swój skromny dobytek. Nie będę potrzebował ciężarówki i firmy od przeprowadzek. To, co stanowi treść mojego życia, w tym książki i ubrania, zmieści się w samochodzie kombi.

### **poniedziałek 28 października**

Wstałem o 6.30 i złapałem autobus z Ashby de la Zouch do Leicester. Całkiem przyjemnie było siedzieć sobie z przodu i podziwiać krajobrazy za oknem. W czasie jazdy miałem okazję zastanowić się nad moim życiem. Co chcę osiągnąć za dziesięć lat? Czy naprawdę chcę przerabiać raz jeszcze wszystkie te kłopoty związane z żeniactwem i zakładaniem kolejnej rodziny? Czy też może raczej powinienem się skupić na tym, by wreszcie coś opublikować?

W końcu nagrałem sobie na kieszonkowy dyktafon Philipsa list do Clare Short.

*Droga Clare!*

*Przepraszam, że zwracam się do Pani po imieniu, ale jest Pani taka przyjacielska i bezpośrednia, że byłem pewien, iż nie będzie Pani miała nic przeciwko temu. Ciekaw jestem, czy zgodziłaby się Pani przybyć do Leicester i udzielić wywiadu do mojej nowej książki Sława i obłęd. Jej główna teza głosi, że wszystkie gwiazdy i znane osobistości z czasem popadają w obłęd i zaczynają myśleć, że są nadludźmi.*

*Nie stać mnie na honorarium czy pokrycie kosztów podróży, ale jestem pewien, że jest Pani odpowiednio wynagradzana za wypełnianie swych ministerialnych obowiązków. Odpowiadałoby mi jakieś niedzielne popołudnie.*

*Mam nadzieję, iż jako osoba znana ze swej szczerości i otwartości, nie obrazi się Pani na mnie za kilka równie szczerych słów pod Pani adresem. W tych apaszkach, które ostatnio zaczęła Pani nosić, wcale nie jest Pani aż tak bardzo do twarzy. Moim zdaniem jedynie Francuzki wiedzą, jak się nosi apaszki. Może będąc następnym razem w jakimś ekskluzywnym kiosku, powinna Pani kupić sobie francuskie wydanie „Vogue”?*

*Z utęsknieniem oczekuję rychłej odpowiedzi.*

*Pozostaję Pani pokornym i uniżonym sługą,  
A.A. Mole*

Kiedy wysiadałem z autobusu, jakaś pani powiedziała:  
– A z tymi apaszkami, to masz pan rację.

## **wtorek 29 października, ostatnia kwadra księżyca**

Dziś po południu weszła do sklepu Sharon Bott. Była akurat w sklepie dla puszystych sieci Evans, gdzie szukała ciuchów na przysięgę Glenna. Zaczęła wyjmować te obszernie stroje i przykładać je do siebie. Była wśród nich różowa kurtka, która mogłaby być ozdobą niejednego hipopotama, i para spodni z szerokimi nogawkami, w które całkiem swobodnie wśliznęłby się nawet i słoń.

Przedstawiłem Sharon panu Carlton-Hayesowi. Tak oto zderzyły się moje dwa światy. Sharon Bott, matka Glenna – mojego pierworodnego syna z nieprawego łoża – reprezentuje zepsucie, upadek i słabość mojego ciała, podczas gdy pan Carlton-Hayes uosabia moją intelektualną naturę i szlachetnego ducha.

Sharon rozejrzała się wokoło i rzekła: „Ile tu książek!”. Zaśmiała się przy tym w taki sposób, jakbyśmy obaj z panem Carlton-Hayesem trwonili dzień pracy na jakichś błahych i kompletnie pozbawionych znaczenia czynnościach.

Powiedziałem jej, że Glenn zaprasza nas w piątkowy wieczór na imprezę z okazji swojej przysięgi.

– To będziesz musiał jechać późną nocą – zmartwiła się.

Odparłem, że nie mam najmniejszego zamiaru wracać samochodem z Surrey nad ranem, ponieważ kiepsko widzę w nocy, i zaproponowałem, żebyśmy zatrzymali się w jakimś hotelu.

Sharon omal nie zemdląła z zachwytu.

– W hotelu! – zawołała. – Ale fajnie!

Po chwili jej oblicze nieco się zachmurzyło.

– Tylko wiesz, Aidy, mnie nie stać na hotel. A poza tym boję się spać sama w pokoju.

Zanim wyszła, wcisnąłem jej cały stos romansów Barbary Cartland, których pan Carlton-Hayes od dłuższego czasu chciał się pozbyć.

Zadzwoiłem do Lesa, żeby zapytać, co z moim wozem.

– Ten mały człowieczek ciągle jeszcze siedzi w silniku – odparł.

### **środa 30 października**

Znowu jazda autobusem.

Skoro świt zadzwoniłem do Lesa. Powiedział, że mały człowieczek nie żyje albo uciekł.

W tle słychać było grubiańskie śmiechy mechaników.

– Czy to znaczy, że mój wóz jest naprawiony i mogę go odebrać? – spytałem.

– W tej chwili nie ma go w warsztacie. Jest na jeździe próbnej. Może wpadnie pan po niego, powiedzmy, koło piątej?

O piętnastej pan Carlton-Hayes i ja zmienialiśmy wystrój wystawy sklepu. Hasłem przewodnim nowej ekspozycji był Bliski Wschód. Nagle, podniósłszy głowę, spostrzegłem, jak na miejscu przeznaczonym dla inwalidów parkuje mój samochód, po czym wysiada zeń pospiesznie jakiś młody człowiek w utyłanych ogrodniczkach i pędzi do obuwniczego naprzeciwno.

Natychmiast zadzwoniłem do Lesa, który powiedział mi, iż jeden z jego praktykantów dostał cynk, że w Leicester po-

kazały się nowe buty Adidasa, ale w niewielkich ilościach. Zatem kto pierwszy, ten lepszy. Potem dodał:

– Miej pan serce, panie Mole. Pan kiedyś też był młody.

Oświadczyłem lodowatym tonem, że mam dopiero trzydzieści cztery lata.

– O, przepraszam. Wziąłem pana za znacznie starszego dżentelmena – odparł na to Les.

Najwyraźniej praca w antykwariacie sprawiła, że przedwcześnie się zestarzałem.

Po drodze z pracy do domu odebrałem samochód z warsztatu. Les policzył mi za naprawę 339 funtów minus paliwo na wyprawę do obuwniczego. Zapłaciłem mu kartą Visa.

– Dałem panu gratis jodłowy odświeżacz powietrza – oświadczył Les.

Nie przyszło mi to łatwo, ale mu podziękowałem.

Cały wieczór usiłowałem zarezerwować trzy tanie pokoje hotelowe w okolicy Deepcut, ale wszystkie wolne miejsca były nieprzyzwoicie drogie. Musiałem w końcu wziąć dwie dwójki, jedną dla moich rodziców, a drugą dla siebie i Sharon Bott. W razie czego mogę spać na podłodze. Zatrzymamy się w hotelu Lendore Spa.

Zadzwoiłem do Pandory i złapałem ją w momencie, kiedy miała właśnie iść do sali obrad i głosować nad przedłożoną przez członków parlamentu ustawą dotyczącą godzin pracy.

– Czego chcesz? – warknęła do słuchawki.

Powiedziałem, że gdyby trafiła jakoś na Tony’ego Blaira, to byłbym wdzięczny, gdyby mogła mu przypomnieć, że nie odpowiedział jeszcze na moje listy.

– Słuchaj, ja naprawdę muszę już iść – powiedziała.

Zapytałem ją, czy popiera nową ustawę, czy też jest przeciwna.

– No jasne, że jestem przeciwna. Zmiany godzin pracy chcą tylko mamusie i tatusiowie, którzy muszą ukołysać do snu

swoje maleństwa – powiedziała, po czym dodała opryskliwie: – Wszystkie kobiety w parlamencie powinny usunąć sobie swoje cholerne macice, zanim wygłoszą pierwsze przemówienie.

## **piątek 1 listopada, Wszystkich Świętych**

Dziś jest przysięga Glenna.

## **sobota 2 listopada**

Wczoraj wstałem bladym świtem, wziąłem prysznic, zrobiłem herbatę i zaniósłem ją rodzicom do pokoju. Na stoliku przy łóżku, po stronie ojca, stała butelka po winie i dwa kieliszki. Telewizor był ciągle włączony – pewnie chodził od wczoraj. Długo trwało, zanim udało mi się ich dobudzić.

Już zaczynałem się bać, że oboje, skutkiem jakiegoś zdumiewającego zbiegu okoliczności, równocześnie zapadli w śpiączkę. Powiedziałem, że mają się pospieszyć i przygotować do wyjazdu o 8.30, bo muszę jeszcze odebrać garnitur z pralni, a potem pojechać po Sharon na drugi koniec miasta.

Kiedy zamykałem drzwi ich pokoju, usłyszałem jeszcze, jak ojciec powiedział:

– Dzisiaj ja siedzę z przodu, koło Adriana.

Kiedy zatrzymaliśmy się pod domem Sharon, jej nowy życiowy partner, dwudziestosiemioletni młodzian imieniem Ryan, podszedł do frontowych drzwi i gapił się na mój samochód i jego pasażerów. Na rękach trzymał najnowszego dzieciaka Sharon.

Wreszcie w drzwiach pokazała się Sharon. W rękach miała sporą walizkę, papierosa, torebkę, czarny aksamitny kapelusz, parasolkę, kosmetyczkę i parę rękawiczek.

– Chryste! – jęknął mój ojciec. – Wygląda jak z jakiegoś teleturnieju!

Wysiadłem z samochodu i otworzyłem bagażnik.

Ryan wyszedł z domu i podszedł do mnie.

– O której ją jutro przywieziesz? – spytał.

Odparłem, że będzie to zależało od warunków atmosferycznych i natężenia ruchu na autostradach.

– Chcę, żeby była z powrotem o 12.30 – rzekł Ryan.  
– Mam występ w Cooper House.

Powiedział to takim tonem, jakby był jakimś gwiazdorem estrady i dawał koncert na stadionie Wembley. Tymczasem ja wiedziałem doskonale, że zarabia cztery funty tygodniowo, puszczając w kółko kilka płyt Very Lynn w Cooper House – pobliskim domu starców.

Z uwagi na liczne przerwy na papierosa, których domagali się moi pasażerowie, droga do koszar w Deepcut zajęła mi więcej czasu niż przewidywałem. W rezultacie musiałem wkładać garnitur, koszulę i krawat na parkingu przy koszarach, na tylnym siedzeniu samochodu.

Kiedy już wyszedłem z wozu, moja matka wydała okrzyk zgrozy i spytała:

– Co to jest to białe na twoich spodniach?

Pośliniła chusteczkę do nosa i próbowała usunąć plamy, ale w pralni chemicznej najwyraźniej solidnie się zapiekły.

Przez większość dnia, jeśli tylko o tym pamiętałem, trzymałem dłonie na udach, jak ktoś, kto ma za chwilę przykucnąć i pogłaskać po głowie jakiegoś malca.

Niezwykle wysoki i wielce odczytany człowiek, generał Frobisher-Nairn, odziany w paradny mundur obwieszony medalami, powiedział licznie zgromadzonym na placu defilad krewnym i przyjaciółom młodych rekrutów, że powinni być dumni ze swoich synów i córek, którym przyjdzie niebawem służyć ojczyźnie i królowej.

Potem żołnierze przemaszerowali tam i z powrotem przy dźwiękach pułkowej orkiestry. Na początku nie mogliśmy znaleźć Glenna, ale potem Sharon go wypatrzyła i wybuchnęła płaczem. Objąłem ją ramieniem.

Ojciec sfilmował całą ceremonię swoją minikamerą.

Byłem bardzo dumny, kiedy podczas przeglądu generał Frobisher-Nairn rozmawiał z Glennem przez całą minutę.

Kiedy Glenn wreszcie dołączył do nas w restauracji, gdzie podano popołudniową herbatkę, spytałem go, o czym rozmawiał z nim generał.

– Zapytał mnie, skąd jestem. Powiedziałem: „Z Leicester, panie generale” – zaczął Glenn. – „Z Leicester? Czy to nie tam robią chipsy Walkera?” „Tak jest, sir” „A ty lubisz chipsy, Bott?” „Tak jest, sir”. „A jakie lubisz najbardziej?” „Serowo-cebulowe, panie generale”. „Doskonale, Bott” – powiedział generał, a ja odpowiedziałem: „Dziękuję, sir”.

Nie powiedziałem o tym ani słowa Glennowi, ale szczerze mówiąc, drogi dzienniku, byłem rozczarowany faktem, że ich konwersacja, prowadzona w chwili, kiedy wszędzie mówi się o wojnie, była aż tak przyziemna i banalna.

Na przyjęciu, które odbywało się w wynajętej sali jakiegoś pubu, nie zabawiliśmy długo. Moi rodzice zrobili z siebie durniów, tańcząc leciwy przebój *Let's Twist Again*, i myślę, że Glenn odetchnął z ulgą, kiedy oświadczyliśmy, że wracamy do hotelu.

Zanim wyszliśmy, powiedział:

– Chcę mieć fotkę z mamą i tatą.

Jeden z jego kumpli, nieśmiały żołnierz imieniem Robbie, zrobił nam zdjęcie. Glenn stanął pomiędzy nami, a Sharon i ja objęliśmy go. Chłopak wydawał się wprost wniebowzięty.

Posmutniałem nagle na myśl o tym, że Glenn nie miał szansy dorastać w domu kochających się rodziców. Wcześniej rano z całą gromadą żołnierzy wylatuje z Gatwick na Wyspy Kanaryjskie na tygodniowy urlop.

Dałem mu pięćdziesiąt funtów, choć wiedziałem, że nie mogę sobie na to pozwolić.

Właścicielami hotelu Lendore Spa jest małżeństwo – Len i Doreen Legg. Ponieważ nikt z nas nie miał ważnej karty kredytowej, Len Legg wziął moją.

Ojciec zapytał, czy bar jest jeszcze czynny. Len Legg przez chwilę powzdychał i powywracał oczami, a potem wyjął z kieszeni wielki pęk kluczy i otworzył kratę nad barem.

– Dziękuję, gospodarzu – rzekł ojciec i spytał, czy znajdzie się butelka zmrożonego szampana.

– Zmrożonego raczej nie – odparł Len – ale mógłbym go wsadzić do zamrażalnika na pół godzinki.

– Ależ nie, proszę sobie nie robić kłopotu – odrzekł ojciec. – Za te pół godziny dotarłoby do mnie, że płacę trzysta procent marży, i pewnie bym zrezygnował. Szampan teraz albo nigdy.

Kiedy już podano nam zamówione drinki, w drzwiach baru stanęła Doreen Legg i płaczącym głosem rzekła:

– Myślałam, że idziesz spać, Len.

– Sama widzisz, co się dzieje, Dore – odparł jej mąż.

Doreen Legg spojrzała na nas z wyrzutem i powiedziała:

– Jest dziś na nogach od piątej trzydzięci.

– Zgodnie z przepisami unijnymi, jako goście tego hotelu mamy prawo korzystać z baru przez dwadzieścia cztery godziny, gdyby przyszła nam na to ochota – wtrąciła moja matka.

Spytałem Doreen Legg, czy podają jakieś przekąski.

– Tylko do wpół do jedenastej – poinformowała.

Sharon kręciła się niespokojnie na ławie obok mnie. Było już piętnaście po jedenastej, a ona musi jadać co dwie godziny.

Ojciec na ochotnika zaproponował, że pójdzie i poszuka w okolicy czegoś do jedzenia.

Doreen Legg uprzedziła nas, że wszystko jest już zamknięte, i dodała, że za to w barkach w pokojach znajdziemy mnóstwo czekolady i orzeszków.

Matka zaczęła głośno wspominać zagraniczne hotele, w których bywała, podkreślając przy tym, jak uprzejmy był w nich personel i jak wspaniałe podawano posiłki.

Len Legg stał za barem, słuchając tego wszystkiego i czyszcząc sobie paznokcie przeżutą i sfatygowaną zapalką.

Kiedy jechaliśmy na górę rozedrganą windą, przypomniałem rodzicom, tak na wszelki wypadek, że zawartość barków w pokojach nie jest wliczona w cenę pobytu.

Przez cały czas miałem nadzieję, że w pokoju, który miałem dzielić z Sharon, będą dwa łóżka. Nic z tego. Głównym elementem wystroju było przestronne, kryte różowym pluszem łóże.

Sharon przechadzała się po niewielkim pomieszczeniu jak turystka. Była zachwycona przyrządem do prasowania spodni i oczarowana telewizorem, wiszącym na ścianie. Podziwiała misterne wzorki brudnych firanek, otwierała wszystkie szafki i szuflady, a kiedy znalazła Biblię Gideona, powiedziała:

– Zobacz! Ktoś zostawił książkę.

Udałem się do łazienki i przebrałem w piżamę.

Kiedy stamtąd wyszedłem, Sharon wcinała batonik Nestlé. Zagarniając językiem zabłąkany kawałeczek czekolady z kącika do ust, powiedziała:

– Aidy, nie obraż się, ale ja już nie szaleję tak jak dawniej, więc nie oczekuj niczego dziś w nocy.

Potem wyszła do łazienki i wróciła po pięciu minutach, ubrana w coś, co przypominało biblijne szaty, po czym położyła się do łóżka.

– To najładniejsza łazienka, jaką w życiu widziałam. Nie sądzisz, że to miło z ich strony, że szykują dla gości wszystkie te mydełka i buteleczki szamponu? – rzekła jeszcze sennym głosem.

Ja leżałem jeszcze przez jakiś czas i zastanawiałem się, co powiedziałyby Marigold, gdyby mogła mnie teraz zobaczyć, leżącego w jednym łóżku z Sharon. Ciekawe, czy by to zrozumiała; a może jest z tych zazdrosnych?

Kiedy rano wchodziliśmy z Sharon do jadalni, z daleka słychać było głos mojej matki.

– Zamówiłam kompletne angielskie śniadanie z tostem. Przyniosła mi pani śniadanie, ale tost dotarł piętnaście mi-

nut później. A kiedy już dotarł, był zimny i niedopieczony. Ten tak zwany tost, który mi pani przyniosła, tak naprawdę w ogóle nie był upieczony. Spędził w tosterze może ze trzydzieści sekund. Uważam w związku z tym, że miałam pełne prawo kazać pani zabrać ten tak zwany tost z powrotem do kuchni i raz jeszcze wsadzić do tosterza.

– Nikt inny dotąd się nie skarżył, proszę pani – powiedziała Doreen Legg i rozejrzała się po jadalni, w której pozostali goście w zakłopotaniu przeżuwali niedopieczone tosty.

– Ja tam nie mam nic przeciwko niedopieczonym tostom – wtrącił przymilnie ojciec – ale moja żona zawsze na nie narzeka.

– George, to nie jest tost – powiedziała matka, machając mu przed nosem mięciutką kromką bielutkiego chleba.

Uznałem, że pora interweniować.

– Pani Legg, płacimy za pokoje 95 funtów od osoby. Czy w związku z tym możemy dostać parę kromek białego chleba, przypieczonych z obu stron, bez tych melodramatycznych scen? – zapytałem.

Pokazałem Sharon bufet śniadaniowy i wyjaśniłem, że może częstować się do woli płatkami, sokiem owocowym i sałatką, fermentującą w wielkiej misce.

Muszę przyznać, że w pewnym sensie byłem bardzo dumny z Sharon. Pewnie pobiła swego rodzaju rekord spożycia przy szwedzkim stole, a i tak dała radę solidnemu śniadaniu z zapiekanką i dodatkowym tostem.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, żeby się spakować, wsypałem Sharon do walizki wszystkie przybory toaletowe dla gości; dorzuciłem jeszcze zapasową rolkę papieru i białą flanelową ściereczkę.

W dziennym świetle pokój wyglądał niechlujnie. Zauważyłem też, że dywan nosi ślady wielu poprzednich lokatorów.

Na autostradzie M25 wlekiśmy się za wielkim tirem. Tkwiliśmy w korku przez dwie i pół godziny, aż ojciec był zmuszony nasikać do butelki po dietetycznej coli.

Sharon zadzwoniła do Ryana z mojej komórki, żeby mu powiedzieć, że się spóźni. Zaczęła mu z podnieceniem opowiadać o hotelu, ale się rozłączył. Przez resztę drogi powrotnej siedziała w milczeniu ze smutnym wyrazem twarzy.

Kiedy już miała wysiąść z samochodu, powiedziałam:

– Chyba najlepiej będzie nie mówić Ryanowi, że spaliliśmy w jednym pokoju, i to w jednym łóżku. Może tego nie zrozumieć.

– Nic się nie martw, Aidy. Obiecaliśmy sobie z Ryanem mówić zawsze całą prawdę – odparła.

Zaniosłem jej walizkę do drzwi. Z frontowego okna groźnie spoglądał na mnie Ryan. Dziecko, które trzymał na rękach, darło się wniebogłosy. Błagałem Sharon, żeby skłamała i powiedziała Ryanowi, że spała w jednoosobowym pokoju, na jednoosobowym łóżku.

Teraz, kończąc dzisiejsze zapiski, czuję narastający niepokój.

### **niedziela 3 listopada**

Skoro Cherie Blair raczyła zignorować moje zaproszenie do zabrania głosu na spotkaniu Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland w dniu 23 grudnia, napisałem do Ruth Rendell.

*Droga Pani Rendell!*

*Proszę mi powiedzieć, między nami pisarzami, skąd Pani czerpie pomysły? Czy pisze Pani na papierze, czy też może używa komputerowego edytora tekstu? Ile czasu zajmuje Pani napisanie jednej powieści? Czy pisze Pani z własnego doświadczenia, czy też Pani fabuły i postaci są całkowicie fikcyjne?*

*Pozwoli Pani, że przejdę do rzeczy.*

*Jestem członkiem-sekretarzem Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland. Ostatnio wielki zawód sprawiła nam Cherie Blair. Nie odpowiedziała mianowicie na zaproszenie do udziału w charakterze prelegentki w naszej*

świętecznej kolacji, która ma się odbyć 23 grudnia bieżącego roku (miejsce do ustalenia).

*Zdaję sobie sprawę, że to już niedługo, ale czy mogłaby Pani czynić honory?*

*Nie stać nas na honorarium lub pokrycie kosztów podróży, ale sądzę, iż przekona się Pani, iż jesteśmy niezwykle żywiołową i inspirującą grupą.*

*Mam nadzieję, że przyjmie Pani nasze zaproszenie. Jednakże, gdyby pani Blair w ostatniej chwili zdecydowała się przyjechać, liczę, że zrozumie Pani, jeśli będę zmuszony podziękować Pani tuż przed planowaną kolacją. Pani Blair jest bądź co bądź pierwszą damą naszego kraju.*

*Pozostaję Pani pokornym i uniżonym sługą,  
A. A. Mole*

#### **poniedziałek 4 listopada, nów**

Był spokojny poranek w naszej księgarni. Pan Carlton-Hayes palił fajkę na zapleczu, czytając opublikowane w zeszłym tygodniu *Dzienniki Tony'ego Benna*.

Byłem zajęty katalogowaniem roczników „Ruperta”, kiedy nagle do sklepu wpadł partner Sharon, Ryan, i obrzucił mnie stekiem plugawych wyzwisk, twierdząc przy tym, że „przeleciałem” Sharon podczas naszego pobytu w hotelu Lendore Spa.

Powiedziałem mu, zgodnie z prawdą – o czym możesz zaświadczyć, drogi dzienniku – że Sharon i ja całą tamtą noc trwaliśmy w czystości.

Zazwyczaj jestem gotów zrobić wszystko, aby uniknąć przemocy fizycznej, ale jeśli ktoś walnie mnie w ramię, to mu oddam. Po chwili bezładnej szarpaniny z zaplecza wyłonił się pan Carlton-Hayes i donośnym, władczym głosem kazał Ryanowi opuścić sklep.

Kiedy Ryan powiedział na to: „Odpieprz się, durny staruchu, zanim ci wsadzę tę fajkę w tyłek”, pan Carlton-Hayes podał mi fajkę i bez ceregieli przywalił Ryanowi prosto w szczękę.

Ryan wyszedł, grożąc, że wróci z bratem.

Kiedy już sobie poszedł, pan Carlton-Hayes odebrał ode mnie swoją fajkę i powiedział:

– Zdaje się, że prowadzisz życie pełne romantycznych przygód, Adrianie. Naprawdę ci zazdroszczę.

## **wtorek 5 listopada**

Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Marigold i zapytałem, czy zechce mi towarzyszyć na organizowanym przez straż pożarną festynie, z którego cały dochód ma zostać przeznaczony na strażacki fundusz strajkowy. Powiedziała, że boi się fajerwerków i pewnie zabarykaduje się wtedy w domu wraz z ulubionymi zwierzakami domowymi. Jej wrażliwość i kruchość podniecają mnie, a zarazem irytują.

Moi rodzice znaleźli dwa chlewy na przedmieściach Mangold Parva. Stoją one na niezbyt zachęcającej działce wielkości jednej ósmej akra, na którą trzeba jechać prawie kilometr bitą wiejską drogą. Wydano już stosowne pozwolenie budowlane na adaptację chlewów na budynki mieszkalne. Na działce nie ma jednak wody, elektryczności, gazu ani kanalizacji.

Rodzice pokazali mi zdjęcie, a matka, podekscytowana, powiedziała, gdzie zamierzają wprawić francuskie drzwi. Odradzałem im ten zakup, ale to szaleństwo owładnęło już obojgiem. Cierpią na typowe *folie à deux*, jak ci seryjni mordercy, Myra Hindley i Ian Brady.

Mają zamiar mieszkać w namiocie i we własnym zakresie przerabiać te chlewy na dom.

– W namiocie? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak, kupiliśmy go dzisiaj w sklepie sportowym Millets. Ma trzy sypialnie, aneks kuchenny i patio z tropikiem na wypadek deszczu – rzekła matka.

– Zapomniałaś o warstwie izolacyjnej całości – dodał ojciec.

– Ależ zima w namiocie na przedmieściach was zabije!  
– zaprotestowałem.

– Zapominasz o jednym, mój chłopcze – zaczął ojciec.  
– Ja i twoja matka jesteśmy z wyżu demograficznego. Urodziliśmy się w latach czterdziestych. Dorastaliśmy bez centralnego ogrzewania, papieru śniadaniowego, witamin i umywalek z ciepłą wodą. Do szkoły maszerowaliśmy sześć kilometrów w jedną stronę w krótkich spodenkach, nawet jak był śnieg. Trzeba czegoś więcej niż kilku przeciągów, żeby nas pozabijać.

Spytałem, co w takim razie zamierzają zrobić z meblami. Powiedzieli, że pozbywają się wszystkiego. Matka zagadnęła, czy nie chciałbym zabrać co lepszych mebli do mojego nowego apartamentu na poddaszu. Omal nie roześmiałem się jej w twarz.

### **środa 6 listopada**

Zadzwoiłem do Davida Barwella i spytałem, czy już wyznaczono ostateczną datę dokonania transakcji. Angela powiedziała, że już dawno przekazała panu Barwellowi wszystkie niezbędne papiery, ale klej do laminowanych paneli najwyraźniej niekorzystnie na niego podziałał, gdyż musiał wyjść z biura.

W południe pan Carlton-Hayes nastawił swoje małe przenośne radio firmy Roberts na kanał Five Live, żeby posłuchać rozmowy z premierem. Usłyszeliśmy, jak pan Blair oświadcza parlamentowi, iż właśnie rozmawiał telefonicznie z prezydentem Bushem, który powiedział mu, że o 15.30 wydana zostanie rezolucja Narodów Zjednoczonych, orzekająca, że można w majestacie prawa przystąpić do wojny z Irakiem.

Pan Carlton-Hayes zapytał mnie, co sądzę o naszym premierze. Powiedziałem, że go podziwiam i popieram, a także ufam mu bezgranicznie.

Zadzwoiłem do Marigold i spytałem, czy możemy spotkać się po pracy. Wydawała się zmęczona i powiedziała, że zeszłej nocy źle spała z uwagi na „straszliwy huk” fajerwerków na festynie strażackim. Dodała, że już najwyższa pora,

by Wielka Brytania, jako kraj cywilizowany, zakazała wszelkich pokazów i imprez z fajerwerkami.

Nie przyznałem się, że wczorajszej nocy sztucznym ogniem napisałem jej imię w ciemnościach.

### **czwartek 7 listopada**

Zadzwoniłem do moich prawników. Angela powiedziała, że w biurze panuje nieopisany chaos. Zrywano właśnie laminowane panele. Jeszcze raz podkreśliłem, że chcę znać datę zakończenia transakcji.

Poszedłem do Parveza. Założył biuro w wolnej sypialni. Kupił w sklepie IKEA meble biurowe i czarny skórzany fotel obrotowy, ale jedną ścianę i tak nadal pokrywa tapeta z listonoszem Patem.

Zdziwiłem się, że Parvez ma na sobie tradycyjny strój muzułmański. Powiedział, że znowu zaczął chodzić do meczetu.

Uznałem, że pasuje do niego nowa hiszpańska bródka, która w dodatku sprawia, że jego twarz wydaje się szczuplejsza.

Kazał mi usiąść i zaczął szczegółowo wypytywać o moją sytuację finansową. Powiedziałem, że mój miesięczny dochód wynosi 1083 funty i 33 penty.

Potem wypełniliśmy drobiazgowy kwestionariusz dotyczący moich comiesięcznych wydatków, a Parvez wstukiwał odpowiedzi do pamięci laptopa. Powiedziałem mu, ile wydaję tygodniowo na gazety (osiem funtów), ile kosztuje mnie utrzymanie samochodu (sto funtów miesięcznie), napoje na mieście (zdumiewająca kwota piętnastu funtów za dwie kawy cappuccino dziennie, i to tylko przez pięć dni w tygodniu), stałe łącze internetowe (35 funtów miesięcznie). Wprost nie posiadałem się ze zdumienia. Jeszcze zanim skończyliśmy, okazało się, że w skali roku moje wydatki przekraczają dochody o blisko pięć tysięcy funtów.

Kiedy kwestionariusz był już wypełniony, Parvez powiedział z dezaprobatą:

– Nie pamiętasz już, Molek, jak przerabialiśmy w szkole *Davidą Copperfieldą*?

Odparłem, że to jedna z moich ulubionych książek.

– A pamiętasz radę pana Micawbera? „Roczny dochód dwadzieścia funtów, roczne wydatki dziewiętnaście czy dziewiętnaście i pół, rezultat: szczęście. Roczny dochód dwadzieścia funtów, a roczne wydatki dwadzieścia i pół, rezultat: nędza”.<sup>\*</sup> Wizyty w Biurze Porad dla Ludności, doradztwo w zakresie długów, bankructwo i bezdomność.

Wpatrywaliśmy się w ekran laptopa Parweza, na którym widniała naga prawda, wypisana drobnymi cyferkami.

– Co mam teraz zrobić? – spytałem w końcu.

– Na pewno nie możesz się przeprowadzić do tego apartamentu na poddaszu, Molek. Z twojej pensji nie stać cię na taki luksus.

Powiedziałem Parvezowi, że już za późno: podpisałem wszystkie dokumenty, a przelew poszedł.

– Chcesz, żebym udzielił ci porady finansowej? – zapytał Parvez.

– Nie chcę. Nie stać mnie na to – odrzekłem i poszedłem do domu.

## **piątek 8 listopada**

Wielki tryumf pana Blaira! Po wielu tygodniach przekonywania przywódców innych państw o tym, że broń masowego rażenia w ręku Saddama Husajna stanowi poważne zagrożenie dla naszego świata, rezolucja nr 1441 została przyjęta jednogłośnie. Nawet Syria zagłosowała „za”, wraz z czternastoma innymi krajami.

Matka usiłowała wyrwać ojca z jego porannego odrętwienia, dyskutując na temat tej rezolucji.

<sup>\*</sup> Przekład Karoliny Beylin.

– 1441? Czy nie tak nazywały się perfumy, których używała moja matka? – spytał ojciec.

Matka westchnęła i zrobiła smutną minę. W końcu rzekła:

– Nie, George. Perfumy nazywały się „4711” – a kiedy ojciec wyszedł z kuchni, dodała: – Żałuję, że nie jestem żoną kogoś takiego jak Roy Hattersley; kogoś, kto interesuje się polityką.

Zapaliła pierwszego w tym dniu papierosa i oglądaliśmy wiadomości w telewizorze w kuchni. Pan Blair robił wyśmienite wrażenie. Spoglądał surowo z ekranu i mówił do Saddama Husajna: „Rozbrojenie albo wojna”. Jego głos aż drżał z emocji.

– Wygląda, jakby miał się rozplakać – rzekła matka, po czym krzyknęła do telewizora: – Zepnij zwieracze, Tony!

## 16.00

Dziś rano do księgarni przyszła Marigold. Nie miała wiele czasu, gdyż spieszyła się właśnie do centrum zdrowia Karma na indyjski masaż głowy. Przez całe życie cierpiała na migreny. Byłem zdumiony, kiedy usłyszałem, że półgodzinny masaż głowy miał kosztować 25 funtów. Poradziłem jej, żeby lepiej kupiła sobie pudełko nurofenu forte, który zawsze mi pomaga. Migreny to jedyna rzecz, która nas łączy.

Spytała, czy chciałbym pójść z nią na koncert, jaki Towarzystwo Miłośników Madrygałów urządza w katedrze w Leicester. Powiedziała, że jej ojciec wystąpi solo. Podobno śpiewa altem.

## 17.30

Pan Carlton-Hayes poszedł do domu. Ja siedzę w sklepie, czekając na Marigold. Nie mam pojęcia, dokąd zmierza ta znajomość. Nie potrafię sobie wyobrazić straszniejszego pomysłu na spędzenie piątkowego wieczoru niż siedzenie w zimnej katedrze i słuchanie, jak Michael Flowers kobiecym głosem wyśpiewuje madrygały.

## północ

Do katedry szliśmy z Marigold pod rękę. Miała czerwony beret i spodnium w kolorze khaki. Nic jej nie powiedziałem, ale wyglądała jak spadochroniarz na przepustce. Być może podświadomie szykuje się do wojny.

Myślałby kto, że Michael Flowers ubierze się stosownie do okoliczności! Nic z tych rzeczy. O ile mi wiadomo, już od trzech tygodni nosi bez przerwy ten sweter w drzewka. Kiedy wspomniałem o tym Marigold, powiedziała, że detergenty strasznie zanieczyszczają nasze rzeki i jeziora.

Koncert rozpoczął Michael Flowers, wygłaszając coś, co, jak powiedział, miało być krótkim wstępem poświęconym historii madrygału. Przemawiał jednak przez dwadzieścia pięć minut jednostajnym głosem, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że jego słuchacze kręcą się nerwowo i śmiertelnie nudzą. Kiedy nareszcie skończył, zaczęły się te okropne wycia.

Netta Flowers górowała wzrostem nad pozostałymi chórzystkami. Jej głos również zdecydowanie dominował. Głęboki kontralt zdawał się trząść ławą, w której siedzieliśmy razem z Marigold.

Potem, kiedy już wmieszaliśmy się w tłum w zakrystii, dobre wychowanie nakazało mi pogratulować państwu Flowers ich popisów.

– Czy wy, młodzi, idziecie później do jakiegoś klubu rockowego? – zapytał pan Flowers.

Omiał się nie roześmiałem na głos. Pan Flowers cuchnie przepoconą wełną.

Później, u Wonga, spytałem Marigold, czy zastanawiała się kiedykolwiek nad przeprowadzką na swoje. Popychając pałeczką kupkę kiełków fasoli dookoła talerza, powiedziała, że liczyła, iż w tym wieku już od dawna będzie mężatką.

## sobota 9 listopada

Marigold zadzwoniła wcześniej rano, żeby mi powiedzieć, że jej rodzice uznali, iż jestem niezwykle sympatycznym młodym człowiekiem. Wydawała się wielce uszczęśliwiona. Nie miałem serca jej powiedzieć, że przez pół nocy nie zmrużyłem oka, zastanawiając się, jakby tu zerwać tę znajomość.

## niedziela 10 listopada

Oglądałem w telewizji, jak starcy i staruszki maszerują pod londyńskim pomnikiem ku czci poległych na frontach pierwszej wojny światowej. Niektórzy naprawdę wyglądali tak, jakby byli na ostatnich nogach. Inni nie mieli nóg i jechali na wózkach. Ojciec zapytał mnie, czemu pociągam nosem. Powiedziałem, że jestem uczulony na maki.

– Twój dziadek Artur walczył w drugiej wojnie światowej – powiedział.

Spytałem go, gdzie dokładnie walczył dziadek.

– Nie chciał mówić o wojnie, ale jak tylko widział programy albo filmy wojenne w telewizji, lub słyszał *Lili Marleen*, płakał jak dziecko. Babcia Mole kazała mu wtedy wychodzić do ogródka z chusteczką, dopóki się nie uspokoi. Twarda była z niej kobieta.

Matka zmieniła adres na elektronicznych pocztówkach w swoim komputerze Apple Mac. Nowy adres moich rodziców będzie brzmiał „Posesja Chlewiki, Bottom Field, Lower Lane, osiedle Mangold Parva, hrabstwo Leicester”.

– Czy to trochę nie za wcześnie? – spytałem.

– Nie, wczoraj po południu kupiliśmy te chlewy na aukcji – odparła matka.

W tym domu zawsze dowiaduję się wszystkiego ostatni. Z przyjemnością się stąd wyprowadzę.

Zadzwoniłem do Nigela. Odkąd wystawił na sprzedaż swoje mieszkanie w Londynie, mieszka w dawnej oficynie babci w domu swoich rodziców. Wzrok pogorszył mu się

jeszcze bardziej. Spytałem go, czy chce iść ze mną do kina na *Władcę pierścieni*.

– Nie – odparł. – Cała akcja toczy się w półmroku Śródziemia, a te elfy i hobbity są naprawdę do chrzanu.

Zapytałem, czy, odkąd pogorszył mu się wzrok, wyostrzył mu się słuch.

– O tak! – odrzekł ze złością. – Teraz słyszę nawet, jak ktoś przewraca strony rozkładu jazdy na pieprzonym dworcu w zapadłej dziurze. Ale ze mnie szczęściarz, co?

### **poniedziałek 11 listopada, księżyc w ostatniej kwadrze**

Wygląda na to, że tylko pan Carlton-Hayes i ja, jako jedyni na głównej ulicy, zachowaliśmy minutę ciszy punktualnie o jedenastej (jeśli nie liczyć kilkorga emerytów i czarnego kierowcy autobusu, który wysiadł z wozu i stał z pochyloną głową).

Zadzwoniłem do Barwella. Angela powiedziała, że papiery czekają tylko na mój podpis. Żeby podtrzymać rozmowę, spytałem ją, jaką tym razem podłogę zamierza zamówić do biura pan Barwell.

Odparła, że pan Barwell jest umówiony o 16.00 ze swoim alergologiem.

Zapytałem pana Carlton-Hayesa, czy mógłbym wyjść na godzinę. Powiedział, że mogę wyjść na jak długo zechcę.

Powinna to być szczęśliwa chwila, lecz podpisując dokumenty, które zobowiązywały mnie do płacenia 723 funtów i 48 pensów miesięcznie, przez cały czas miałem w pamięci przestrożę Parveza: „Biuro Porad dla Ludności, doradztwo w zakresie długów, bankructwo, bezdomność i nędza”.

Przez cały czas trwania tej małej papierkowej ceremonii Barwell chrząkał i kaszłał. Powiedziałem mu, że w jego biurze powietrze jest nieco zatęchłe, i zaproponowałem mu nawet, że otworzę okno.

– To okno się nie otwiera. Nie mogę wpuszczać tutaj pyłków – wycharczał w odpowiedzi.

Zwróciłem mu uwagę, że okna w jego biurze zrobione są z ultrafioletowego polichlorku winylu, i poradziłem, żeby wymienił ramy na tradycyjne, drewniane. Opowiedziałem mu ze szczegółami o reportażu na temat syndromu budynków chorobotwórczych, który słyszałem w Czwórcę wczoraj wieczorem. Początkowo wydawał się zainteresowany, ale potem przestał mnie słuchać i tylko co chwilę spoglądał na zegarek.

W piątek odbieram klucze do mojego nowego apartamentu na Nabrzeżu Szczerów!

## **wtorek 12 listopada**

Wczoraj wieczorem, na zebraniu Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland, Ken Blunt zapytał mnie, czy załatwiłem już prelegenta na naszą kolację bożonarodzeniową w dniu 23 grudnia i czy znalazłem stosowne miejsce. Odparłem, że ani pani Blair, ani Ruth Rendell jeszcze nie odpowiedziały na moje zaproszenie.

Gary Milksop powiedział, że ubiega się o posadę nauczyciela prowadzącego warsztaty literackie dla dorosłych na uniwersytecie trzeciego wieku.

– Ależ, Gary, nie masz odpowiednich kwalifikacji, żeby prowadzić takie zajęcia – zaoponowałem.

Gary oświadczył, że ma licencjat z pedagogiki i prawie skończył pisać powieść.

Dodał, że to posada na pół etatu, warta dziesięć tysięcy funtów rocznie. Potem pokazał mi ogłoszenie. U dołu kartki, drobnymi literami, napisane było: „Preferowani będą publikujący pisarze z dorobkiem”.

Najdelikatniej jak tylko umiałem, zwróciłem Milksopowi uwagę, że nie zarobił jeszcze ani pensa na pisaniu, i przypomniałem mu, że okleił całą ścianę swego jedyne go pokoju odmowami publikacji od różnych wydawców.

Gladys przeczytała nam swój najnowszy wierszyk o kotkach:

Biedna Czarnulka jest uszczęśliwiona,  
Bóg tak powiedział jej:  
Mam ja nad morzem pensjonat  
Co zwie się Holiday.  
Pojedziesz tam na wczasy  
Z duchami przodków swych  
Będzie Filemon i Bonifacy  
Złapiecie parę mych.

Potem powiedziała, że w zeszły czwartek jej Czarnulkę przejechała ciężarówka.

Ken Blunt stwierdził, że wiersz Gladys jest nieudany, ponieważ jest zmyślony. Powiedział, że oczywiście wybrała jakąś „Lebę” tylko dlatego, że rymuje się z „niebem”, a pomysł z duchami kotów uganiającymi się za myszami po deptakach nadmorskiego kurortu orzekł za zupełnie absurdalny.

Ten wiersz jest nieprawdziwy  
Ten wiersz jest absurdalny  
Ten wiersz to czyste zmyślenie  
I rym też ma banalny.

Zwróciłem Kenowi uwagę, że „czyste zmyślenie” łamie rytm wiersza.

Gary Milksop powiedział, że Gladys powinna zebrać swoje kocie wierszyki i wysłać do jakiegoś wydawcy.

– A po cholere? Dla małych kotków? – spytał Ken Blunt.

Gladys oświadczyła, że nabijamy się ze śmierci biednej Czarnulki i w związku z tym powinniśmy już sobie pójść. Z radością stamtąd wyszedłem. Już i tak od stóp do głów pokryty byłem kocią sierścią.

Ken Blunt zapytał mnie i Gary’ego, czy nie mamy ochoty na drinka. Poszliśmy do Czerwonej Krowy, obok uniwersytetu. Lokal był pełen studentów śpiewających do wtóru piosenek Rolfa Harrisa. Gary Milksop uświadomił mi, że

Rolf Harris jest obecnie kultową postacią w środowiskach studenckich. Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałem?

Rozprawialiśmy o przyszłości Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland i, chcąc nie chcąc, doszliśmy do wniosku, że to przez Gladys ciągle tkwimy w miejscu. To jej kocie wierszyki stanowiły główny punkt programu podczas ostatnich spotkań. Ken powiedział, że jest tylko jedno rozwiązanie: wykluczyć ją z naszego grona.

Oczywiście to właśnie ja zostałem oddelegowany, żeby powiedzieć Gladys Fordingbridge, że nie należy już do Koła Literackiego hrabstwa Leicester i Rutland.

Spytałem Kena, nad jakim tekstem aktualnie pracuje.

– Nad żadnym – odparł.

Dzwoniła Marigold i zostawiła mi na komórce wiadomość, że jest „...zaniepokojona, bo się nie odzywasz. Jesteś chory?” Nie miałem ochoty z nią rozmawiać, więc napisałem krótki liścik:

*Droga Marigold!*

*Wybacz, że się nie odzywałem. Cały czas o Tobie pamiętam. Nadal przyspiesza mi oddech, kiedy myślę o Twoich delikatnych nadgarstkach i o tym, jak okulary spadają ci na czubek nosa.*

*Gdybyś miała telefon komórkowy, regularnie wysyłałbym Ci SMS-y. W tym tygodniu jestem strasznie zajęty. W piątek przeprowadzam się na Nabrzeże Szczurów, a potem pewnie jeszcze przez jakiś czas będę pochłonięty urządzaniem mieszkania. Ale skontaktuję się z Tobą, kiedy będę miał trochę wolnego czasu.*

*Pozdrawiam serdecznie,  
Twój Adrian*

*PS Twój ojciec pewnie wścieka się na Geoffa Hoona za to, że pozwolił prezydentowi Bushowi zainstalować pociski rodem z gwiazdnych wojen na naszej pięknej angielskiej ziemi.*

*Ja jednak jestem zdania, że to cena, którą musimy zapłacić za naszą wolność.*

### **środa 13 listopada**

Przypomniałem moim rodzicom, że dziś o 18.00 rozpoczyna się strajk straży pożarnej. Błagałem ich, żeby w związku z tym nie palili w łóżku i nie zostawiali w popielniczkach niedopałków, kiedy będą sobie obcinać paznokcie u nóg itp. Byłaby to prawdziwa katastrofa, gdyby ich dom się spalił, zanim ja wyprowadzę się na Nabrzeże Szczurów, a oni przeniosą się do tego, co nazywają teraz szumnie Posesją Chlewiki.

### **czwartek 14 listopada**

Pan Carlton-Hayes dał mi trzy dni wolnego na przeprowadzkę. Nie mogę wlec za sobą do mojego nowego, odlotowego apartamentu na poddaszu tego marnego łóżka z sosnowego drewna, w którym spałem od dzieciństwa. To tak, jakby przykrywać narzutą szpanerską sofę z salonu meblowego Terence'a Conrana. Muszę sobie kupić futon, nową pościel, proste, lecz stylowe meble kuchenne, stół i dwa krzesła na balkon, regały na książki, telewizor i jakieś zasłony do mojej przeszklonej łazienki. Problem w tym, że nie mam na to ani grosza.

Kiedy powiedziałem matce, w jakiej jestem sytuacji, spojrzała na mnie znad książki (*Renowacja nieruchomości. Podręcznik dla początkujących*) i powiedziała:

– Nikt już nie kupuje takich rzeczy za gotówkę. Pieniądze jako takie po prostu nie istnieją. Wszyscy ludzie, których znam, żyją na kredyt. Załatw sobie kartę kredytową jakiejś sieci handlowej.

Znalazłem małą firmę, która pomoże mi w jutrzejszej przeprowadzce. Nazywa się „Dwie dziewczyny z furgonetką”.

Całe popołudnie spędziłem przy telefonie, zmieszany i przygnębiony, słuchając Vivaldiego i różnych automatów. Wygląda na to, że gaz na Nabrzeże Szczurów dostarczają wodociągi, elektryczność – spółka gazowa, a wodę jakieś francuskie przedsiębiorstwo, którego nazwy nie jestem w stanie wymówić. Za mój telefon odpowiada sieć kablowa NTL. Jutro o drugiej po południu podłączają mi ponad dwieście kanałów telewizyjnych.

Te „dwie dziewczyny” z firmy od przeprowadzek to wcale nie dziewczyny, tylko dwie solidnie zbudowane kobiety w średnim wieku – Sian i Helen. Wpadły dziś do nas, żeby ocenić, ile razy będą musiały jutro obracać furgonetką z Ashby de la Zouch do Leicester.

Odpowiedź brzmiała: raz.

Dały mi trochę kartonowych pudeł i zostawiły mnie na gorze, przy pakowaniu książek. Matka zaprosiła je na dół, na filiżankę herbaty.

Wkrótce potem ojciec przyszedł do mnie na górę. Z kuchni dobiegał kobiecy śmiech. Spytałem ojca, o czym panie tak wesoło rozmawiają.

– Normalnie: głupie babskie gadanie – odparł ojciec.  
– Po ile kapusta, czy księżnę Dianę zamordowano, czy Hans Blix znajdzie broń masowego rażenia. I jeszcze coś o kotach, o tym, jak zmienić coś w tym cholernym życiu, ostatni odcinek *Seksu w wielkim mieście* i paplanina o tym, że mężczyźni nie są im już potrzebni. – Po czym dodał, zniżając głos – Helena usiłuje zajść w ciążę. Sian jej w tym pomaga, używając narzędzia do faszzerowania indyka i butelki spermy, którą podarował im zaprzyjaźniony gej. – Pokiwał głową ze smutkiem. – Gdzie popełniliśmy błąd, Adrianie? Pozwoliliśmy im pójść do pracy, a nawet, cholera, zostać pastorami; rozbijają się samochodami, a jedna, wyobraź sobie, jest kapitanem marynarki! Kupiliśmy im maszyny, żeby było im łatwiej odwalać robotę w domu, a one wciąż nas nienawidzą, i wolą uprawiać seks z kuchennym narzędziem niż kochać się z facetem. – Trącił nogą jedno

z moich kartonowych pudeł i dodał: – Nie bardzo masz się czym pochwalić, jak na trzydzieści cztery lata życia, co?

Kiedy już wyszedł, położyłem się na łóżku, na którym spałem od dzieciństwa, i płakałem przez dobre półtorej minuty.

### **piątek 15 listopada**

Dziś rano Sian i Helen pomogły mi się przeprowadzić na Nabrzeże Szczurów. Mój obecny adres brzmi teraz doprawdy prestiżowo: Lokal nr 4, Stara Fabryka Akumulatorów, Nabrzeże Szczurów nad Kanałem Grand Union, Leicester. Taki adres całkowicie mi odpowiada – jest bardzo lakoniczny i bardzo męski.

Kiedy „dziewczyny” wносиły na górę ciężkie pudła z książkami, ja otworzyłem suwane drzwi, wyszedłem na balkon ze stalowej siatki i, wsparty o poręcz, spoglądałem sobie na kanał. Natychmiast podплыnęło do mnie stadko łabędzi, które zaczęły agresywnie sykać. Najbardziej zacietrzewiony był największy, który, nie wiedzieć czemu, przypominał mi sir Johna Gielguda, wielkiego aktora od ról klasycznych. Jakiś tramp w starym stylu, ze sznurkiem zamiast paska, przechodził chwiejnym krokiem obok fabryki barwników, pociągając co chwila z puszkii piwa marki Kestrel.

Z mojego punktu obserwacyjnego ponad lustrem wody widziałem wyraźnie kilka wózków z supermarketów, kartonów po mleku i setki puszek po piwie leżących na dnie kanału. Woda dziwnie fosforyzowała i roztaczała niezdrową woń, której z pewnością jeszcze nie było, kiedy w październiku oglądałem swoje przyszłe mieszkanie. Chciałem postać sobie jeszcze chwilę na balkonie, ale – zupełnie serio, drogi dzienniku – wrogię spojrzenie Gielguda, największego z łabędzi, zapędziło mnie z powrotem do środka.

Spytałem Sian, co sądzi o moim apartamencie na poddaszu.

– Będzie tu przyjemnie, jak pomaluje pan ściany na jakiś żywy kolor i doda trochę drobiazgów, żeby zrobiło się przytulniej – powiedziała.

Odparłem, że nie chcę niczego dodawać, i wyjaśniłem, że zamierzam wieść życie skromne i proste, trochę w stylu Mahatmy Gandhiego.

Helen wskazała pudło z moimi ubraniami i spytała:

– To co pan tutaj ma? Przepaski biodrowe?

Zwróciłem jej uwagę, że to Tarzan nosił przepaski biodrowe, Gandhi zaś nosił dhoti, a to zupełnie co innego.

Zanim wyszły, Helen powiedziała mi, że kiedy na parkingu wyjmowały pudła z samochodu, widziały „stado agresywnych łabędzi”. Ostrzegła mnie, że bym na nie uważał, i dodała:

– Wie pan, taki łabędź może człowiekowi złamać rękę.

Zapłaciłem im osiemdziesiąt funtów, na co też nie bardzo mogłem sobie pozwolić. Byłem rad, że już sobie poszły. Chciałem pochodzić trochę po moim własnym, przestronnym apartamencie, słuchając odgłosu swoich kroków na parkiecie z prawdziwego drewna.

Czekając na wizytę technika z NTL, rozpakowałem książki i ułożyłem je w stosy na podłodze w porządku alfabetycznym. Na dole przez cały czas awanturowały się łabędzie. Od czasu do czasu Gielgud przelatywał za moim oknem balkonowym. Dziwne: zapomniałem, że łabędzie umieją latać. Miałem jakieś niepokojące uczucie, że Gielgud mnie podgląda i nabija się ze mnie, ponieważ mam tak niewiele dobytku.

O czwartej popołudniu zadzwoniłem do NTL, by zapytać, dlaczego ich człowiek nie zjawił się zgodnie z umową. Kobieta przy telefonie powiedziała, że zadzwoni do mnie na komórkę, kiedy uda jej się skontaktować z ich „technikiem rejonowym”.